

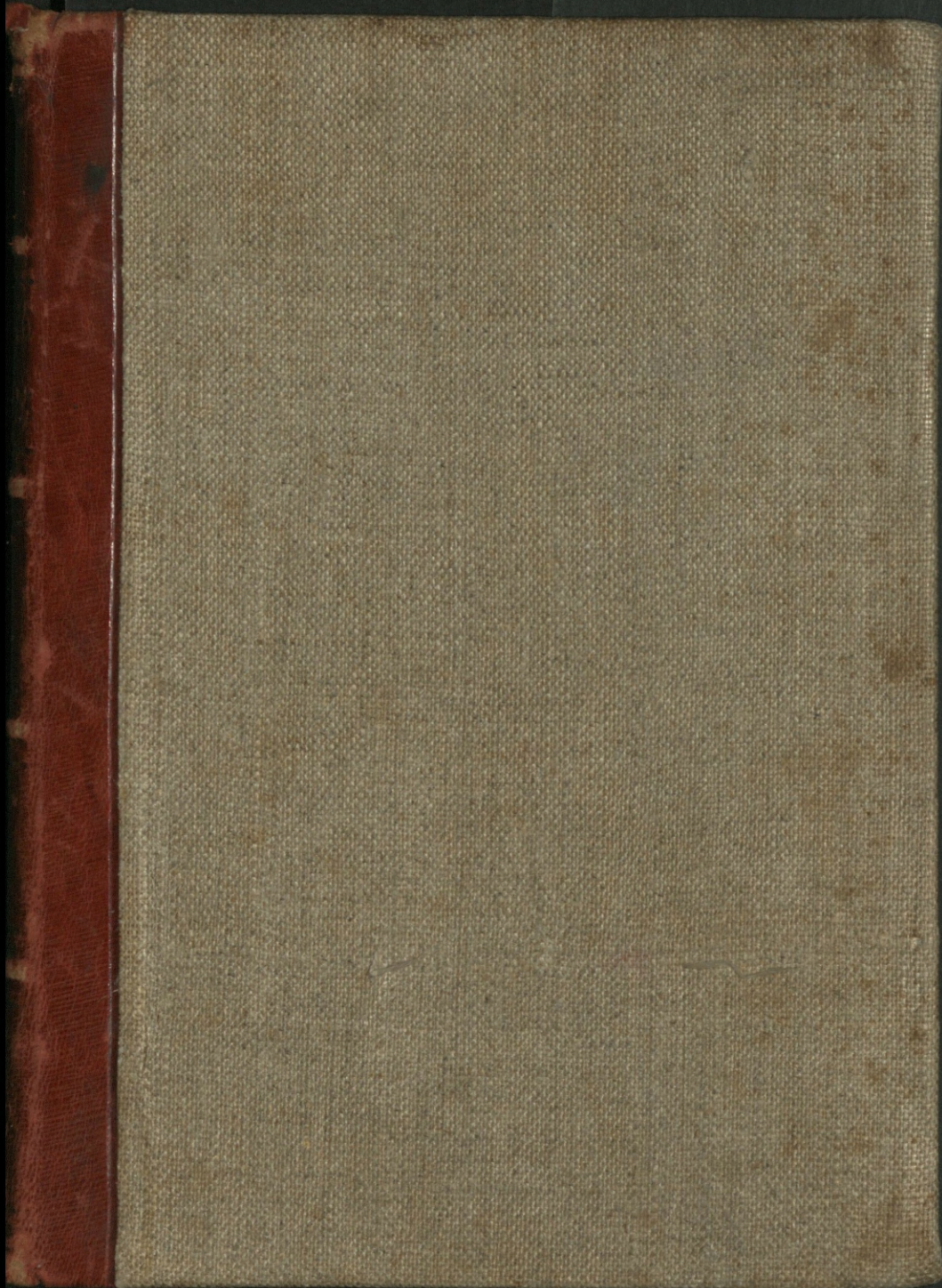


Grey Scale #13

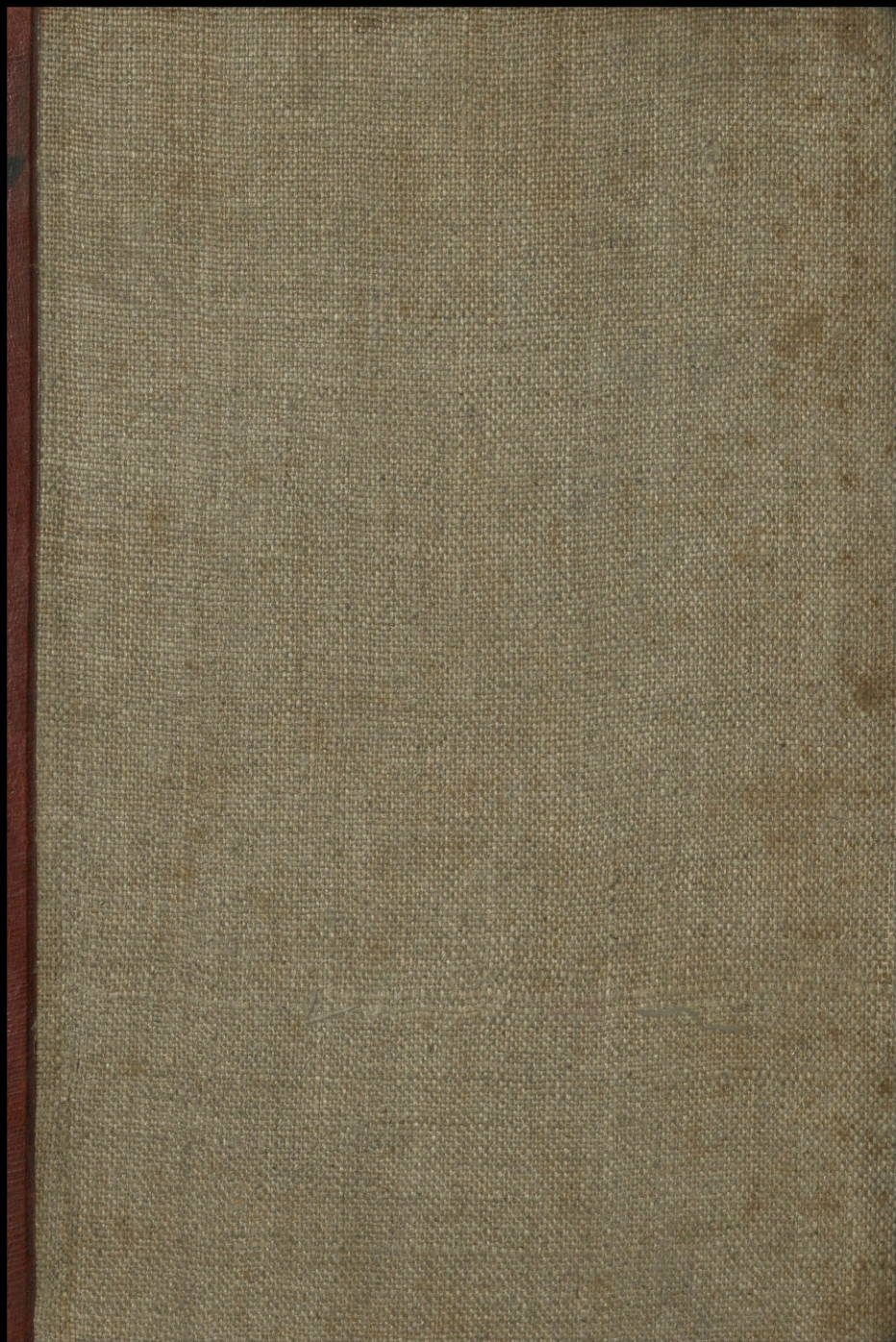


DANES-PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

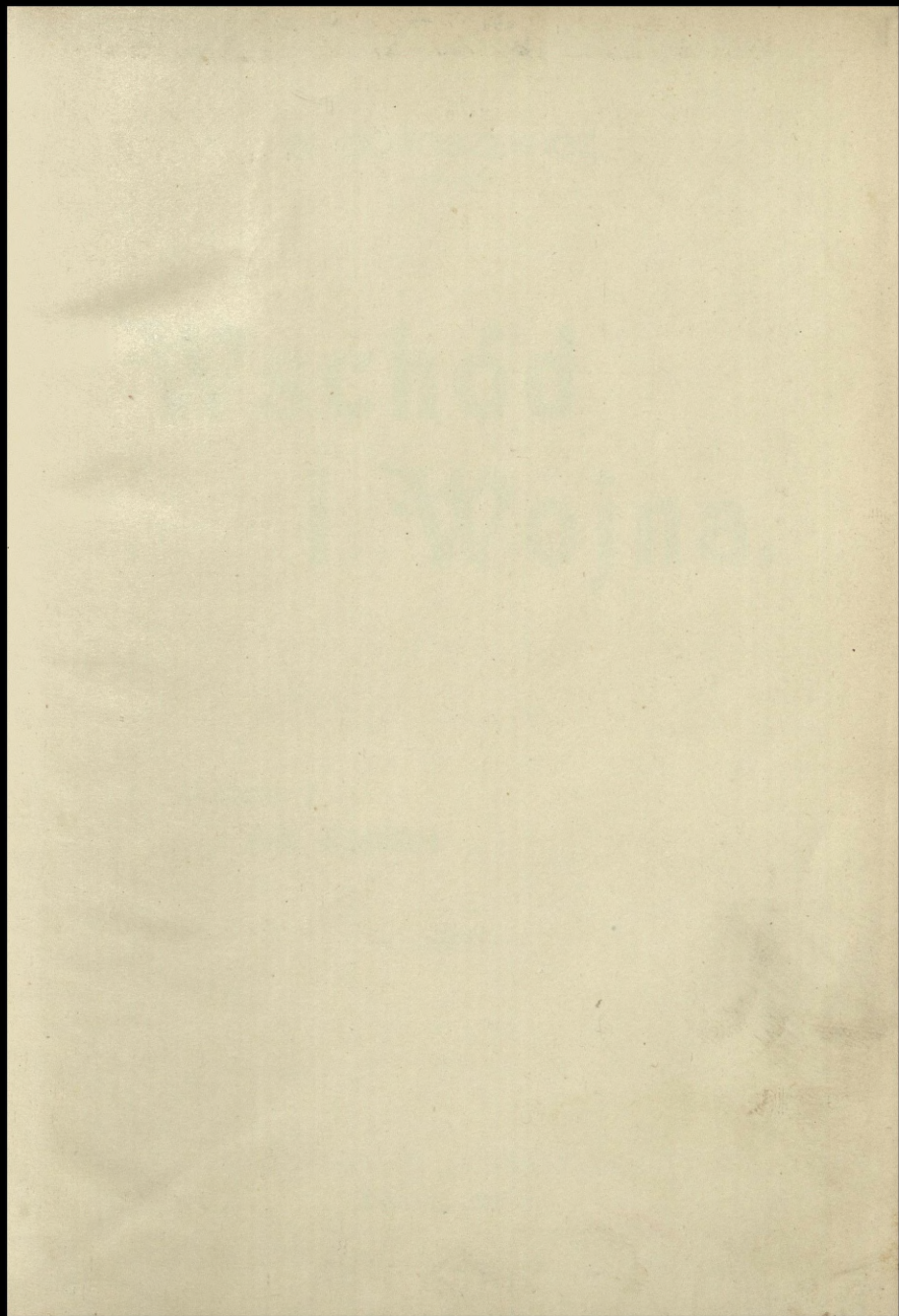


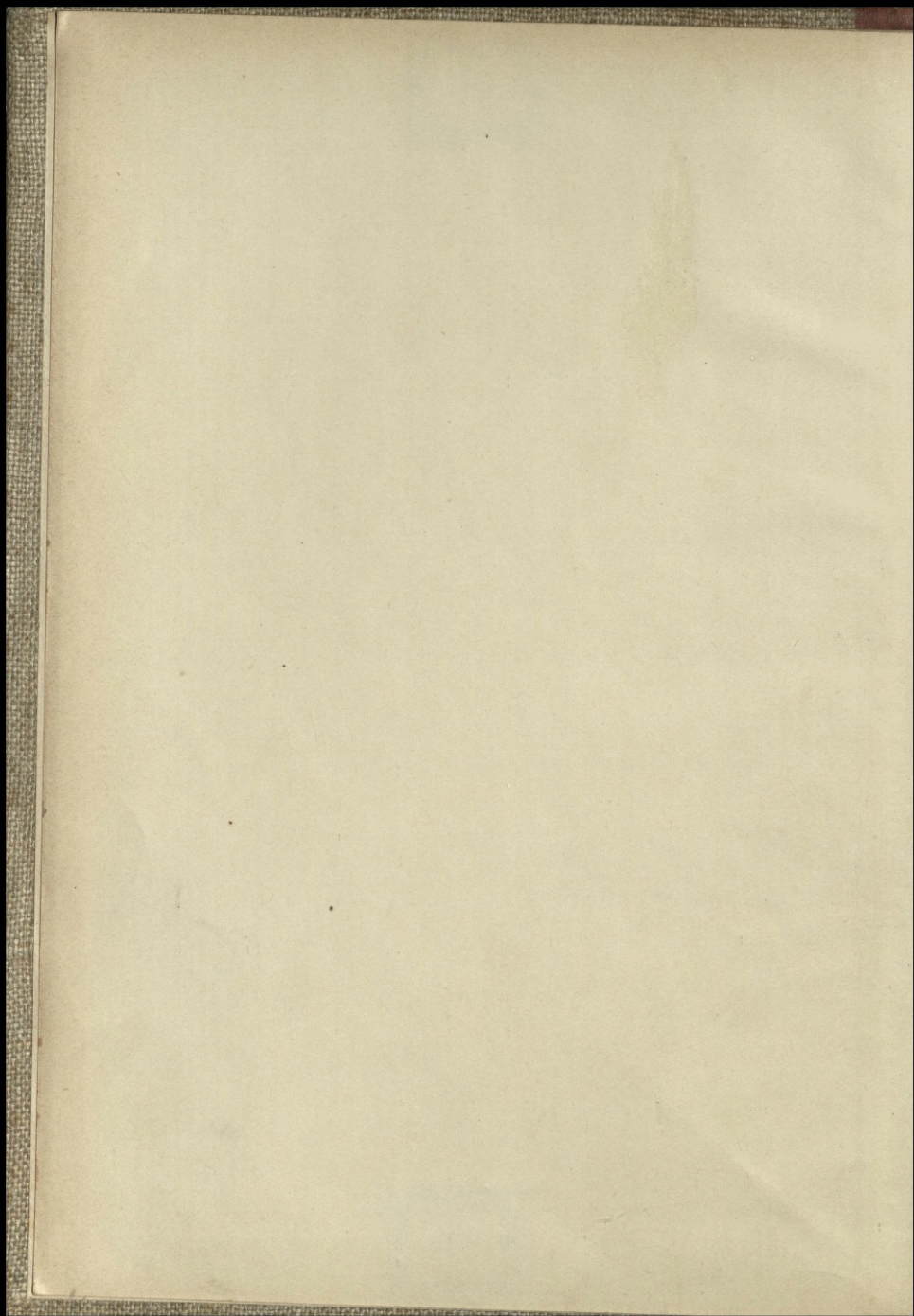
DANES-PICTA .COM



118.

139





W. DOROSZEWICZ.

Wschód i Wojna.

Spolszczył

Jan Kiszkel.



DRUKARNIA M. DOBRZAŃSKIEGO

Piotrków—1905 r.

882-4

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ
Варшава, 17 Марта 1905 года.

10649/1



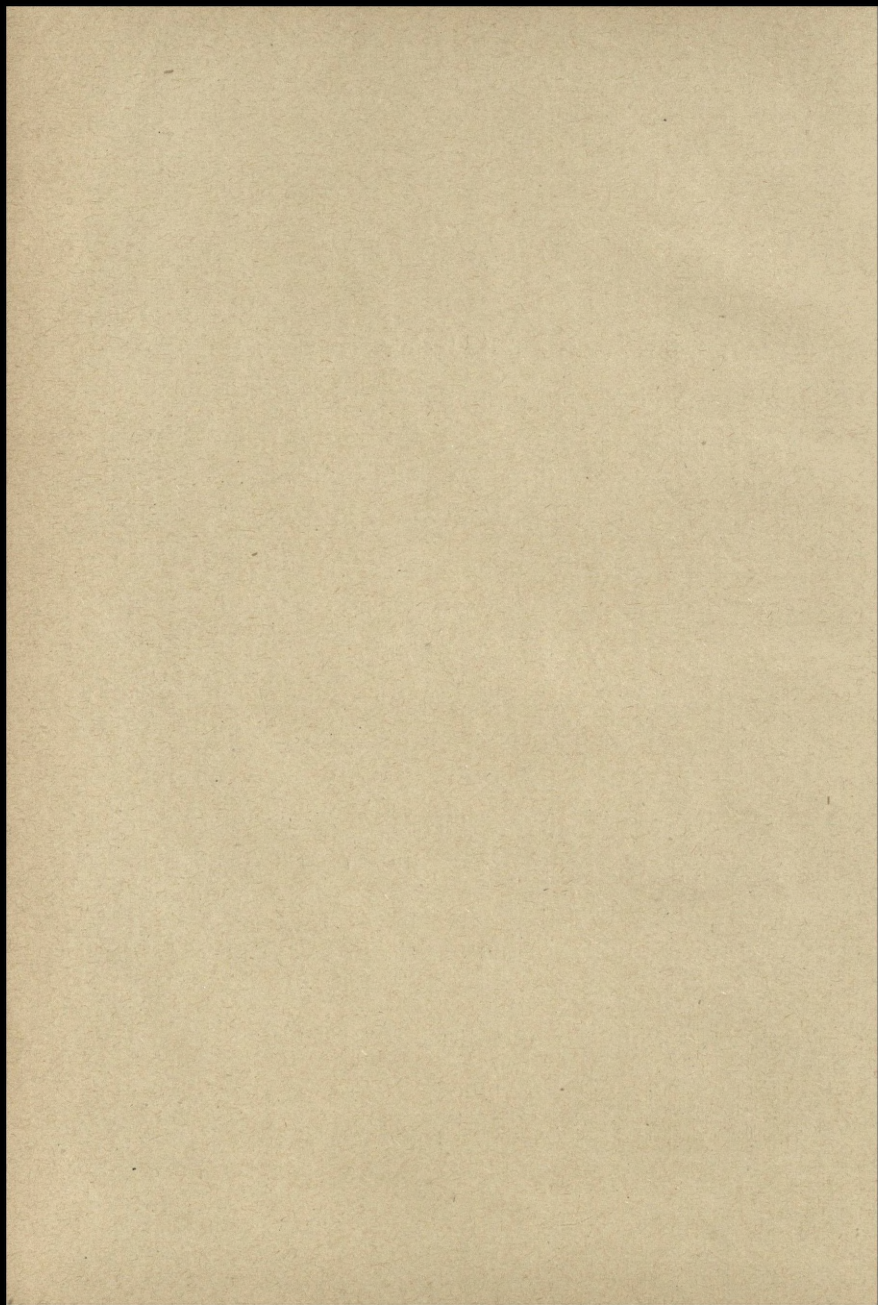
W drukarni M. DOBRZAŃSKIEGO przy Redakcyi «Tygodnia»
Piotrków.—1905.

OD TŁUMACZA.

Utalentowany felietonista rosyjski p. Doroszewicz, autor znanego polskim czytelnikom obszerniejszego dzieła, pod tytułem: «Sachalin», z rozpoczęciem wojny rosyjsko-japońskiej, przedsięwziął podróż po różnych krajach Wschodu, w celu możliwie dokładnego zbadania jego opinii i nastroju. Oparte na bezpośredniej obserwacji życia miejscowego spostrzeżenia, p. Doroszewicz umieszczał w formie listów z podróży w jednym z spism rosyjskich, a następnie wydał w formie oddzielnej książki pod tytułem: «Wschód i Wojna». Chociaż wrażenia i spostrzeżenia te były spisywane w pierwszej połowie roku zeszłego, t. j. w początkowym okresie wojny, jednakże praca p. Doroszewicza nie przestaje i dotąd być ciekawą. To nas skłoniło do przyswojenia jej językowi polskiemu.

1/ IV 1905 r.
Piotrków.

Jan Kiszkel.



WSCHÓD i WOJNA.

I.

W Małej Azji i Konstantynopolu.

Było to 15 lutego, w jasny, ciepły dzień majowy w Trebizondzie.

Nastał wesoły Kurban-Bajram. Ponure ma-
loazyatyckie miasto było pełne życia, ruchu, we-
sela. Na minaretach powiewały czerwone cho-
ragwie z białym półksiężcem. Po ulicach opro-
wadzano tresowane niedźwiedzie. Z placu do-
latywały okrzyki: to kurdowie śpiewali i tańczyli
swoją barbarzyński, wojowniczy taniec z szablami.
Naokół starych, ocienionych olbrzymiemi
cyprysami cmentarzysk, w rozklekotanych, cią-
gnionych przez kościste szkapy powozach, używa-
ły przejażdżki całe zakfione haremy, wprost
jakoweś wozy, naładowane spowitem w czarną
materję kobiecem mięsem.

— To turek. A to? A to?—pytałem swego tłumacza-greka.

On zaś, siedząc na kozle, z najuprzejmiejszym, niewolniczym, schlebiającym uśmiechem, kłaniał się bez przerwy na lewo i na prawo, życząc wszystkim przygodnie spotkanym, wesółych świąt.

— Wszystko to turecy. W takie, jak dzisiejszy, dni, chrześcianie siedzą w domu.

— A pan?

Skrzywił się.

— Jeść się chce. Święto Kurban-Bajram, to nie jest dzień, w którymby chrześcianin mógł wychodzić na ulicę. Tembardziej teraz, w tych osobliwych czasach.

— Jakież to osobliwe czasy?

— A no... ta wojna...

Obok mostu, nad urwiskiem głębokiego, stromego parowu, przed rumowiskami starej genueńskiej cytadeli, olbrzymia, pełna gości kawiarnia.

Kurzą się kaliany, rozchodzi się aromat dobrej kawy.

Pyszni, udekorowani medalami, orderami, akcelbantami, tureccy oficerowie, znakomitsi kurdowie w suto naszywanych złotymi galonami

kurtach, w rajtuzach szerokości morza czarnego, z całym arsenałem pistoletów, sztyletów, jataganów za pasem—i z wąsami, przypominającymi również dwa jatagany. Prawowierni starej daty w zawojach, postępowi w fezach, w brudnych prasowanych koszulach i zatłuszczonych, jakby z cudzych pleców zdartych, marynarkach.

Wszystko to huczało, jak w ulu. Mówiło, wschodnim obyczajem, nie hałaśliwie, ale poważnie—z ożywieniem.

Tłumacz, koziółkujący z uprzejmymi uśmiechami na lewo i na prawo, usiadł dla pozorów przy drugim obok mnie stole.

Turysta jest tu osobliwością. Kto bowiem zajrzy do tej dziury?

Tłumacza widocznie spytano:

— Kto to taki?

— I wokół, po całej kawiarni, rozszedł się szmer:

— «Moskow... moskow... moskow...»

Cały Wschód hołduje pozorom. Prześlizgnęły się po mnie wszystkie spojrzenia, lecz tak oto, przelotnie, niby przypadkowo.

Wschodnia przyzwoitość wymaga, aby na przedmiot interesujący spoglądać obojętnym okiem.

Lecz na ten raz, w wyrazistych spojrzeniach południowych oczu czytałem i ciekawość, i jakiś, jakby powstrzymywany, drwiący uśmiech, i odcień pogardy, i nawet litości.

— O co oni pytają?

Tłumacz uśmiechnął się swoim wiecznie przymilającym się, fałszywym uśmiechem:

— Oni mówią... mówią...

— Co?

— Oni chcą, aby spytać pana... czy to prawda... czy prawda, że japończycy zatopili «moskowom» 50 okrętów?

— Pięćdziesiąt? Powiedz im pan, że tylu okrętów nawet niema w całej port-arturskiej eskadrze.

Dopokąd mówiłem, wszyscy patrzyli z wlepionym we mnie wzrokiem; w kawiarni panowało grobowe milczenie.

Gdy tłumacz powtórzył im moją odpowiedź, rozległ się szmer: wszyscy ją powtarzali.

Wielu, dziękując mi za nią, kłaniało się uprzejmie, choć objaśnienie moje nikogo nie przekonało.

Widziałem, że nikt mi nie wierzy.

Wschodnia przyzwoitość wymaga złożenia ukłonu temu, z kim zamieni się bodaj słowo.

I ja też wychodziłem z kawiarni przeprowadzany uprzejmymi ukłonami. W spojrzeniach jednak na «moskowa» znów można było wyczytać drwiny i pogardę.

— O czym oni jeszcze mówili?—spytałem tłumacza, kiedyśmy wyszli.

Zdetonował się zupełnie.

— O różnych rzeczach—odrzekł—o tem, o czem wszyscy mówią...

— O czemże mianowicie?

— Ot, tak sobie, to samo... co wszyscy...

— No?

Powiadają, że teraz właśnie czas... że turcy odbiorą moskowom Batum.

Dodał jednak z lękiem, uspokajając mnie:

— Ale ja temu nie wierzę.

-- A często mówią oni o wojnie?

— Oprócz wojny, o niczem teraz nie mówią! W Inieboli, Platanie, w Samsunie, — wszędzie, gdzie, korzystając z długich przystanków austriackiego parowca «Garnolia», schodziłem na brzeg, nie słyszałem innych rozmów, tylko o wojnie. Nie wiem, czy więcej interesowano się w Małej Azji wojną roku 1877.

Zdaje się, iż więcej interesować się czemś, jak obecnie interesują się wojną rosyjsko-japońską—niepodobna.

Gdy tylko statek zarzucił kotwicę, nawet przy wzburzonym morzu, płynęły od brzegu, przechylając się i omal nie przewracając, szalupy przeładowane turkami.

— Chcą obejrzeć parowiec!

Turcy tłumami chodzili po statku, podług wschodniej etykiety, pozornie niby nie interesując się niczem,—wkrótce jeden z nich, tłumacz, niby od niechcienia, zapytał pomocnika kapitana:

— A co nowego mówią w Batumie o wojnie?

I wnet na wszystkich twarzach odmalowała się gorączkowa ciekawość: «co, co mówi marynarz w niezrozumiałym języku?»

I tak wszędzie, jedno i to samo.

— Gotują się wziąć z powrotem Batum? spytałem swoich tłumaczy-greków.

Każdy z nich, zdetonowany, jękał się i odpowiadał:

— Tak... wszyscy mówią... Ale... ale ja w to nie wierzę...

Słowem, wszystko naokół upajało się pogłoskami o «japońskich zwycięztwach». Tylko

cyfra zniszczonych «moskiewskich okrętów» podlegała wahanom.

Miejscami zniżała się do dwudziestu, miejscami podnosiła się do siedemdziesięciu pięciu.

Pogłoski mnożyły się, rozchwytywano je.

W Małej Azji niema gazet. Gazetom, otrzymywanym z Konstantynopola, żywa dusza nie wierzy.

Turcya przechodzi okres reakcyi.

Turecka reakcya! Można sobie wyobrazić, co to jest!..

Przejrzano wszystko:

Wiele podręczników, obowiązujących przed pół rokiem w szkołach, uznano obecnie za książki szkodliwe; nawet przechowywania ich wzbroniono.

Wszyscy, którzy w literaturze tureckiej posiadali ile tyle talentu, porzucili pióro i poszli na służbę «dette publique», gdzie szczęściem stoją u steru europejczycy.

Europejczycy z litości przyjęli za marną gażę tureckich literatów, wybawiwszy ich w ten sposób od głodu.

Zaznajomiono mię z tureckim poetą, który jest obecnie kancelistą w fabryce tytoniu.

Jest to... poeta liryczny. Lecz i liryczne poezye uznano obecnie w Turcyi za niebezpieczne.

Wychodzące w Konstantynopolu gazety nie mówią nic, ale skamlą.

I oto taki skutek, że gazetom nikt nie wierzy:

— Jeśli coś wydrukowane,—to już tem samem musi być nieprawda.

Cała Turcyja za to żyje i karmi się najdziwniejszemi, bezsensownemi plotkami:

— Skoro coś mówią—to widać prawda.

W Samsunie zaznajomiłem się z francuzami, będącymi u steru zarządu rządowej fabryki tytoniu. Należy ona do «dette publique», tej «administracyi spraw niewypłacalnej, zbankrutowanej Turcyi».

— Jakiż tu nastrój?

Turcy i tu o niczem innem nie mówią, nie interesują się niczem, oprócz wojny. Tureccy urzędnicy w Samsunie chcieli zaprenumerować depesze «Ajencyi Hawasa». Kosztuje to bardzo drogo, lecz postanowili zrujnować się; w Konstantynopolu jednak uznano za niedopuszczalną prenumeratę nawet cenzurowanych depesz.

Nie więc, oprócz pogłosek. Czytają gazety konstantynopolitańskie, w których piszą: «uszkodzono dwa pancerniki».

Turcy zaraz mówią: jeżeli już napisali «uszkodzono dwa»—to trzeba czytać: «zatopiono dwa dzieścia». W przeciwnym razie nie by zupełnie nie pisali!

— Gotują się odebrać Batum?

— To powszechne!

W jednym z miast spotkałem znajomego lewantyńczyka z Odessy. Zagnały go tutaj losy przed trzema laty.

Niewymownie ucieszył się, ujrawszy rosyjanina:

Tylko z żoną dzielimy się tu myślami. Z obcy mi strach w całym mieście słowo zamienić. Wszyscy trzymają stronę Japończyków. Wszyscy zachwyceni są Japończykami. Wprost djabli wiedzą co takiego! Codziennie prawie całe rosyjskie floty tu giną. Powiedzieć zaś, że to bajka—nie można, zaraz krzykną: «zdrajca». Trzeba milczeć, lub mówić tylko z żoną; po rosyjsku—nikt tu nie rozumie.

— A Batum?

— Już biorą! Prawdopodobnie w ten sposób mówiliby we Francyi o Strasburgu, gdyby

Niemcy prowadziły z kimkolwiek uciążliwą wojnę.

Rana 1877—1878 r. jeszcze bardzo świeża. Więc marzenie odwetu żyje w tureckiem, dumnem, zranionem sercu.

A oto rys charakterystyczny.

Pytałem wszędzie, gdzie tylko mogłem:

— Cóż, czy wierzą oni, że Japonja rozbije Rosyę?

I wszędzie, od wszystkich otrzymywałem jedną i tę samą odpowiedź:

— Wszyscy są przekonani, że koniec końcem Rosya «zgniecie» Japonję.

Zdarzyło mi się osobiście rozmawiać z wielu Turkami, z pospólstwem przez tłumaczy, i z ludźmi inteligentnymi.

Wszyscy odpowiadają jedno i to samo.

— Rosya o!..—i dla ilustracyi rozpościerają szeroko ręce.

— Japonja o!..—i pokazują koniec palca.

Na cóż więc liczą?

Na męztwo japończyków, na ich zdolność, wściekłość i rozpacz. Zgniótłszy koniec końców Japonję, «moskowsy» będą tak wyczerpani wojną, że nie prędko zdecydują się rozpocząć drugą. Wtedy nadejdzie—«chwila».

W kilka dni potem byłem w Konstantynopolu, i zachwyciałem się uroczystością selamlika.

Z twarzą Groźnego Cara wracał sułtan z meczetu Hamidie, pod górę do Ildiz-Kiosku, w odkrytym faetonie, powożąc sam dwoma «faworytami» arabami, oslepiająco białej maści.

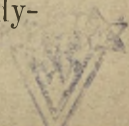
Zalany złotem, zawieszony orderami i przybrany we wstęgi tłum baszów biegł w podskokach za pojazdem, i każdy z nich cisnął się aby sułtańskim koniom-ulubieńcom dopomódz ciągnąć pod górę pojazd.

Starzy i kaleki, o kulach i kijach, z rozpaczą przeciskali się przez tłum ministrów, generałów, książąt, eunuchów, przybranych w niebieskie szamerowane mundury, przez tłum lśniących białością albańczyków, w obawie, że nie uda im się choć bodajby palcem dotknąć powozu. Jutro rozeszłaby się zaraz głucha wieść:

— Niebezpieczny, nieprawomyślny, nie podtrzymywał pojazdu...

I każdy będzie drzeć o swoją skórę, często starą już, pokiereszowaną i podziurawioną na polach bitew!

Między tym biegnącym klusem, kapiącym od złota obsypanym dostojestwami tłumem byli zasłużeni generałowie, przebiegli i zręczni dy-



plomaci. Sądzę, że dyplomaci tureccy są najzręczniejsi w całym świecie—albowiem inaczej dawno nie byłoby już Turcyi.

Najbardziej interesującymi byli baszowie, o typowo niemieckich i angielskich twarzach.

Co oni musieli myśleć, dając z siebie to widowisko rodakom-europejczykom, przyglądającym się z terasu tej fantastycznej maskaradzie, od której szedł powiew starej, pysznej Azyi.

W tłumie tym, biegnącym na złamanie karku za idącymi wyciągniętym kłusem faworytami arabami—w tłumie tym, na którym wspiera się egzystencya Turcyi, nikt zapewne nie myśli o Batumie, ani «drugiej wojnie której nie będzie mogła wytrzymać wyczerpana Rosya».

Lecz... Zdarzyło mi się wejść w gawędę z jednym z członków ciała dyplomatycznego, nie Rosyaninem.

— Czy wywarła obecna wojna jakikolwiek wpływ na Turcyę?

— Bez wątpienia. Turcyja zaczęła ociągać się z odpowiedziami. Turcyja zawsze i na wszystko odpowiada «tak», a następnie nic nie dostrzymuje. To jej polityka. «Reformy? Tak»!— «Żandarmerja? Tak»!—Co chcecie, zawsze «Tak», a potem—nic. Przedtem jednak Turcyja odpowia-

dała swoje «tak» niezwłocznie. Obecnie zaś zaczęła nawet swoje «tak» opóźniać. W tem cała różnica. Dawniej niezwłocznie zgadzała się na wszystko, co jej zaproponowano. Wszystko jedno—postara się nie spełnić nic.

Dlaczegoż więc miałyby się nie zgadzać? Obecnie zaczęła prowadzić targ. «Czyby nie można tego odmienić, a owego nie żądać?»

Uwidocznia się wszędzie i we wszystkim, w każdej chwili, że Turcyja świetnie rozumie, iż «Rosyja obecnie zajęta, nie czas jej myśleć o nas!» Uwidocznia się to, powtarzam, we wzmożonem jej kunktatorstwie. O wojnie, jednak, o odwiecie, o Batumie, o jakim bądź konflikcie z Rosyją, oprócz motłochu, nikt w Turcyi, ma się rozumieć, nie myśli.

«Oprócz motłochu»...

Zapewne, dyplomacie wolno wyrażać się z najwyższą pogardą: «Motłoch»...

Dyplomaci mają do czynienia jedynie z dyplomatami; wszystko, co leży po za tem zaczerpnięciem kołem, uznają oni za niegodne ich uwagi.

Historyę tworzą w gabinetach. I tworzą ją na papierze.

Dyplomacya, to rodzaj autosugestyi. Ludzie poddali się hypnozie i zdaje im się, że historia:

— To nasza osobista sprawa. My załatwimy to między sobą.

Ludziom tym, zostającym w stanie autohypnozy, zdają się, że, oprócz składanych przez nich wizyt, uściśnień dłoni, ukłonów, gawęd i listów wszystko inne na świecie jest bez żadnego znaczenia.

Wszystko, co leży po za obrębem ich czarowanego koła, to:—«Motłoch»!

I nie warto o tem mówić, niema się czem interesować.

Kiedym słuchał, jak swobodnie i lekceważąco dyplomata wymawiał słowo «motłoch», przypomniała mi się rozmowa z pewnym bardzo inteligentnym europejczykiem, od 15 lat zamieszkałym w Trebizondzkim wilajecie i świetnie znającym Małą Azję.

Przy pogardliwym grymasie ust, z którym dyplomata wymawiał słowo «motłoch»—przypomniała mi się zamyślona, zafrasowana i trwożna twarz owego europejczyka.

Zapewne, wszystkie te ludowe gawędy nie pobudzą rządu tureckiego do wojny, lecz... U nas są Kurdowie. W Europie mają o nich błędne po-

jęcie: więcej znają ich wąsy, aniżeli ich samych. Okropnemi temi wąsami straszą oni obywatele — lecz wrogowie ich, wrogowie na polu bitwy nigdy nic oprócz ich pleców nie widzieli. W Małej Azji słowo «Kurd» — jest wyrazem obraźliwym. «Ty—kurdzie!» — mówią, chcąc kogoś zelżyć, nie tylko chrześcianie lecz i turcy. Kurd — to zdrajca. Dla swej obrony można wziąć zupełnie dzikiego arnautę i można mu zaufać; Jeżeli zaś weźmiesz Kurda, on pierwszy gotów cię sprzedać i zrabować. W bitwie Kurdowie są tchórzliwi — i w Małej Azji nikt nie wątpi, że wspaniała, złożony z Kurdów pułk «Hamidie» pierwszy ucieknie z placu boju.

Lecz nie ma więcej wojowniczego narodu niż Kurdowie, skoro ujrzą przed sobą spokojnych mieszkańców.

Nie boją się oni Konstantynopola, jako takiego; Za nadto się on do nich umizgał, chcąc ich do siebie przywiązać: dowodem tego nadanie nazwy «Hamidże» składającemu się z nich pułkowi, sprowadzanie wodzów ich do Konstantynopola i wyróżnianie ich tam. Natomiast Kurdowie obawiają się, że na Konstantynopol może być wywarta presyja, i wtedy będzie on zmuszony, wbrew swej woli, zarządzić przeciw

nim środki. Presyę tę może przedewszystkiem wyrzucić Rosya. Kurdów nie obchodzi ani Batum ani Kars. Dla Batumu i Karsu potrzebna jest wojna; Kurdowie zaś wojny nie lubią, za to bardzo lubią rabować. Oni dawno już nie mieli tej uciechy aby rabować raję. Rozdmuchane i przesadzone przez wschodnią fantazyę pogłoski o rosyjskich kłopotach, mogą Kurdów natchnąć męztwem:

«Obecnie Rosya nie może wywierać presyi na Konstantynopol;—z własnej zaś inicjatywy Konstantynopol, ma się rozumieć, nie nam nie powie».

Oto są powody, do których ja, jako europejczyk i chrześcianin, czuję się obecnie w Małej Azji nieswój. Nie obawiam się, o siebie, jestem bowiem urzędnikiem tureckim; obawiam się jednak, iż wypadnie mi być niemym i bezczynnym świadkiem wielkich wokół okrucieństw, iż znów zacisnąwszy z bólu pięście, «spokojnie» będę patrzeć, jak dokoła leje się krew nieszczęśliwej chrześciańskiej rai.

Rozmowa ta miała miejsce w lutym.

Zdaje się, iż obawy mego znajomego zaczynają się potwierdzać.

I po bliższem rozpatrzeniu sprawy może się okazać, że w ostatnich «zwycięztwach» Kurdów nad spokojnemi ormianami niemałą rolę odegrały przepelniające Małą Azyę pogłoski i opowiadania o niebywałych, stanowczych zwycięztwach japończyków, i o wielkich trudnościach jakie Rosya musi przewycięzać.

Że odwieczni, historyczni, a przytem zwyciężeni wrogowie Rosyi—turcy, cieszą się z jej niepowodzeń i całym sercem, całą wybujałą wyobraźnią są po stronie jej przeciwników, to rzecz aż nadto zrozumiała,—lecz kto mi sprawił niespodziankę, to—Grecya.

II.

Grecya i Wojna.

Nie zdążył jeszcze nibyto arabski, w rzeczywistości zaś angielski, statek nasz «Izmael», przepłynąć obok wiecznie zielonych, wesołych wysp Hellady i zarzucić kotwicy w Pirei,—a pokład obiegły już dziesiątki greków obladowanych gazetami, depezami i rycinami.

— Zwycięstwo japończyków! zwycięstwo japończyków!

Na rycinach widniała krew, gorzał ogień granatów, wznosiły się kolosalne słupy wody, rozpryskiwały się w powietrzu w kawałki maszyny zdruzgotanych okrętów rosyjskich, i zanurzały się w wodzie bandery, zwłaszcza bandery świętego Andrzeja.

Ten ubliżający i złośliwy szczegół figurował na każdym obrazku. Potem w Kolombo od handlarza japończyka nabyłem ilustracye japońskie.

W porównaniu z greckimi były, jak się pokazało, nad wyraz nikłe. Ilustrują one w sposób naiwny zniszczenie wielkiej ilości rosyjskich pancerników, zwiększając ich liczbę. Odtwarzają zatopienie «Cesarzewicza» i «Retwizana». Wszystko to jednak jest rzeczą naturalną; wszak — są to obrazki japońskie.

A mimo to na żadnym z nich niema, na przykład, owego złośliwego szczegółu, dotyczącego bandery św. Andrzeja.

Nawet japończycy w swej zrozumiałej i naturalnej nienawiści do wszystkiego co rosyjskie nie pozwolili sobie na tak złośliwy wybryk.

Wogóle, gdyby zakryć podpisy i obrazki położyc obok siebie, to wszystkie greckie rysunki łatwoby wziąć za japońskie.

Taką aureolą opromienieni są tam japończycy. Można widocznie stać się gorliwszym japończykiem od samego japończyka.

Kupiłem ateńskie gazety. Ponieważ, jednak, nie pisuje w nich ani Homer ani Ksenofontes nie zrozumiałem z nich nic.

Poprosiłem o przetłumaczenie.

Zdarzało mi się potem czytywać kolonialne niesłychanie złośliwe gazety angielskie; czytywałem wydawane w angielskim języku gazety syn-galezkie, które dusiły się wprost z radości, spowodowanej «świetnymi zwycięztwami wspólną wyznającego religię narodu»:

— «Taką moralną potęgę czerpie naród z naszej religii!»—głosiły one.

Tłumaczono mi w Kairze arabskie gazety, tętnące nieprzejednanym fanatyzmem przeciwko dawnym, historycznym wrogom islamu «moskowom».

Nie było w nich jednak nic podobnego do tego, co pisały gazety greckie.

Tam było «swoiste oświecenie» faktów. Tu zaś fakty tworzone; nawet służący mi za tłumaczyw grecy zatrzymywali się zdetonowani:

— No, o depeszy to już łą, sami ją wymyślili. Taka wiadomość pozostaje w sprzeczności nawet z depeszami Reuthera.

Ale sprzedają to, co ma popyt.

Sądząc z gazet helleńskich można było wnioskować, że w Grecyi marzą tylko o zwycięztwach japończyków i porażkach rosyjan.

To zemsta za rok 1897. Dlaczegośmy się wtedy za nimi nie ujęli, dlaczegośmy za greków nie lali krwi naszych żołnierzy?..

Biedny kapitan! Ilekroć wśród greków, którzy wsiedli w Pirei na nasz statek, wszczyniała się rozmowa o wojnie, zaczynał kręcić się na krześle.

Napróżno go uspakajałem.

— Niech sobie gadają. Przecież ja nie rozumiem po grecku.

A na statku: grecy, lewantyńczycy, turcy, angielscy turyści, niemieccy komiwojażerowie, mówili o wojnie, o niczem innem, tylko o wojnie.

Najlepiej wychowani Grecy, z którymi wypadło mi rozmawiać, nie mogli powstrzymać się od złośliwości.

Na «własne depesze» gazet ateńskich wzruszali ramionami.

— Cóż! Bawią się! I publiczność bawi się czytając! Niech i tak będzie!

Lecz nie mogli powstrzymać się od uwagi:

— Jednakże Rosyi jest bardzo ciężko!

I przez przyzwoitość starali się tym słowom nadać wyraz współczucia, podobnego do zbyt ciasnej na twarzy maski.

Mnie to interesowało:

— Jakiż więc podług opinii panów będzie rezultat wojny? Japonja zwycięży Rosyę?

I znów od wszystkich jedna i ta sama odpowiedź:

— O, nie!

I znów «Rosya» góra, a «Japonja» ku dołowi.

A może, mówili tak przez grzeczność, przez delikatność, do mnie, jako do rosyjanina.

Staralem się także rozpytywać ich ubocznie, przez kapitana, przez pomocników, przez «neutralnych» przedstawicieli: Niemców i Anglików. Ci przynosili mi zawsze jedną i tę samą odpowiedź greków:

Koniec końcem, Rosya zapewne zdusi Japonję. Lecz jakich to będzie wymagało ofiar!

I te właśnie: «ofiary», widocznie, sprawiały im ogromną przyjemność, uspakajały ich utajone od 7 lat uczucie zemsty.

Pewien Grek na zadane przezemnie pytanie:

— Na czemże podług pańskiego zdania skończy się wojna?

Odpowiedział uroczyście:

— Japonja będzie zgnieciona przez Rosyę tak, jak Grecya zgniecioną została przez Turcyę w roku 1897.

Wszyscy obecni przy rozmowie grecy potwierdzają kiwnęli głowami i spojrzeli na niego zachęcająco.

— Japończycy biją się jak grecy!

Nie sędzę, aby japończycy byli zadowoleni z tego porównania. Lecz w ustach greka, zapewne, nie może być większej pochwały.

III.

Egipt i Wojna.

— Rosya jest chciwa, przebiegła i okrutna!
— takie jest na Wschodzie zdanie o Rosyi.

Wyraz «Rosya»,—dla człowieka wschodu brzmi jak pogróżka.

«Rosya»,—to utrata samodzielności. To obrócenie podbitego kraju w niewolę. To utrata tego, co dla fanatycznego mieszkańca Wschodu jest najdroższem w życiu—religii:

— Rosyanie wszystkich nawracają na chrześcjanizm.

Słuchają oni z podziwem, że w Rosyi są i meczety, i synagogi, i buddyjskie świątynie czcicieli ognia.

Słuchają, lecz nie wierzą:

— Rosya jest chciwa! Rosya chce zagarnąć cały Wschód.

— Rosya jest przebiegła. To już komplet na rzecz naszej dyplomacyi.

— Jest to najprzebieglejsza, najsubtelniejsza, najzręczniejsza dyplomacya.

Taka ma być nasza dyplomacya!

Zaprawdę, nie wiesz już, co na to powiedzieć:

— Saul zaliczony między proroków! albo też nikt nie jest prorokiem we własnej ojczyźnie!

— Rosya okrutna!

Biedny fellach, podobny do zmartwychwstałej, starożytnej egipskiej płaskorzeźby, który przedziwnie zachował starożytny typ, i pozostał róż-

wnie dzikim, równie ciemnym, jak za czasów faraonów, fellach, mieszkający w lepiance, podobnej do psiej budy, zbierający z żyznych łąnów delty Nilu dwa razy do roku najobfitsze plony, a pomimo to, będący ustawicznie żebrakiem,—przeraziłby się okropnie, gdyby mu powiedziano:

— Moskowsy idą!

— Obedrą go ze «wszystkiego».

A przecież od tysięcy lat, od niepamiętnych, przedhistorycznych czasów on nic nie posiadał!

Pracuje więcej od własnego wołu. Pracuje od świtu do nocy. Przez jego ręce przechodzą całe fortuny,—a jemu nie zostaje nic. Odbierają go ze wszystkiego.

Nie żyje on, tylko wegetuje. Żaden pies nie pozazdrości jego egzystencji — odbierają mu wszystko co tylko od niego wziąć można, odbiorą mu wszystko!

Cóż więc ryzykuje? Co może stracić?

Lecz... «moskow» — to wyraz, który go nadewszystko przeraża.

Co to jest Rosya, gdzie ona jest, nie wie. Wie tylko, że mieszkają gdzieś jacyś straszni ludzie, którzy nazywają się «moskowami», tak jak jego przodkowie wiedzieli, że gdzieś na świecie

mieszkają straszni ludzie, którzy nazywali się scytami.

I o ludziach tych wie tylko jedno:

— Oni są strasznie okrutni.

Cóż poradzić! Bywają już takie ugruntowane opinie!

Na statku, pewien australijczyk, adwokat, z którym bardzo się zaprzyjaźniłem, przychodził wieczorami do «smoking roomu», w «pandzanie», t. j. w samej bieliźnie, i według dobrego anglo-australijskiego zwyczaju dysponował:

— Stuart! Dużą whisky, małą sodę, t. j. około szklanki 50-cio stopniowej gorzałki z pół szklanką wody sodowej.

Wychyliwszy dysponował znowu:

— Stuart! Jeszcze jedną— a potem—jeszcze jedną.

Taki mam zwyczaj. Przy kolacyi wypijam zawsze trzy whisky.

I oto, pewnego razu, po wychyleniu swobodnem trzech szklanek wódki, odezwał się:

— Mówią, że w Rosyi dużo piją, czy to prawda?

I człowiek ten, wychylający codziennie na noc po trzy szklanki wódki, jest najgłębiej przekonanym, że Rosya—to kraj pijaków.

W Sewilli w pierwszy dzień Wielkiej Nocy poszedłem na rynek, gdzie sprzedają baranki dla dzieci. Jest to miły zwyczaj andaluzyjski, że w poranek Wielkanocny prowadzą dzieci na rynek, i kupują im malowane na kolor różowy baranki.

Rynek rozbrzmiewał dziecinnym śmiechem, dziecinnymi okrzykami zachwytu, oraz beczeniem jagniąt.

Sprzedawano tam farbowane na różowo baranki, a tuż obok... rznęto i oprawiano owce!

Wszędzie ciekła i bluzgała krew.

Matki wykrzykiwały:

— Nie chodź tam! Poplamisz się krwią!

Gdzie spojrzysz,—powleczone mgłą baranie ślepie, i ostatnie kurcze konania. Wszędzie stopy dymiących wnętrzności; wystrojone dzieciaki brną przez kałuże krwi. I cała ta rzeź odbywa się w obecności dzieci.

Z tamtąd poszedłem przejść się po ulicach.

Czytam afisz:

— Walka kogutów.

Wszedłem. Tłum. Po środku «cyrku», na małej, nieco wzniesionej, odgródzonej wysoką, drucianą siatką arenie, zbluzgany krwią kogut, ze zwiłem na niteczce nerwu okiem, dziurawił oskubany łeb drugiemu, zwyciężonemu, zdychającemu

już, także zbluzganemu krwią, obróconemu w kawał żywego mięsa—kogutowi.

Na barierze stała klepsydra. Za pięć minut wypręży się po raz ostatni. Zakład o pięć pezetów!

Tłum nie spuszczał oczu z widowiska, zakładał się.

— Trzy pezetty,—zaraz będzie skurcz lewej nogi!

— Dwa pezetty,—nastąpi skurcz prawego skrzydła!

Po śniadaniu byłem na walce byków.

Zamęczyli najprzód a potem zabili sześciu «toro». Rozpruto brzuchy dwudziestu koniom.

Zabito torreadora!

Wywleczono z areny pięciu pikadorów,—tego z wyprutemi wnętrznościami, tamtego z rozbitą głową, owego ze złamaną ręką.

Tłum ryczał:

— Jeszcze koni!

I patrzył, jak konie, wydając jakieś czysto ludzkie, nie zwierzęce, głosy, z wyprutemi, wiążąciami pod brzuchem wnętrznościami, rzucały się po arenie.

Widzowie bili oklaski, wyjąc.

Gdy byk doganiał upadłego, ledwie drgającego konia, bódł go, deptał nogami, obwąchiwał

i, zauważywszy jeszcze oznaki życia, podnosił go na rogach i podrzucał w górę, tłum ryczał:

— Ognia!

I nowe oklaski, gdy wtykano w skórę byka strzały z gorejącym fajerwerkiem.

Tłum śmiał się i wył z zachwytu, gdy oszalały z bólu i trwogi zwierz rzucał się po arenie wśród kaskady ognia i iskier, które go paliły, piekły żywcem.

Po walce byków obiadałem w towarzystwie bardzo przyjemnych i inteligentnych hiszpanów.

Jeden z nich, rozpytując mię o Rosyę, zauważył:

— Wszak Rosyanie to naród bardzo nieokrzesany! Gustują oni podobno w bardzo prostackich przyjemnościach?

W Kairze pokażą panu meczet, w którym podłoga pokryta jest czarnymi plamami.

— Są to plamy krwi. To krew mameluków, których wodzowie byli tu sproszeni i podstępnie wymordowani, prócz jednego, który wyrwawszy się z meczetu, wskoczył na konia i rzucił się z nim z murów z wysokości pięćdziesięciu sążni. Trupy leżały tu stosami, krwią, która sączyła

się z tych stosów, przesiąkł nawet marmur i pozostały na wieki czarne plamy, niby ponure stygmaty ludzkiej podłości, zdrady i okrucieństwa. Najbardziej przerażającą jest ogromna czarna plama obok niszy, obróconej w stronę Mekki. Tu, u tego ołtarza mahometańskiej świątyni, zamordowaną została największa gromada wodzów.

I na tem strasznem miejscu, jeśli spytasz araba: co to są moskowsy? on będzie ci powiedział o ich okrucieństwie, choć nigdy ich w życiu nie widział.

Tak niedawno jeszcze Arabowie widzieli angielski pogrom. Jeszcze parę lat temu przejechał po nich sam lord Kitchener. Samo jego imię, jak uosobiona legenda mordu i okrucieństwa, budzi jeszcze lęk w arabach.

To były pogromy!

I Egipt, który w tym kierunku widział to, czego nikt jeszcze nie doznał, twierdzi jednak i jest głęboko przekonany, że moskowsy to okrutnicy!

Nawpół dziki beduin, wciągający dzisiaj turystę na piramidy—ponieważ to zyskowniejsze i bezpieczniejsze od wczorajszych jeszcze rozbojów w pustyni—beduin, będący w stanie zarząć

człowieka za szilinga, mówi z przestrachem, jeśli mu pan wspomnisz, żeś Rosyaninem:

— Moskowy—to bardzo okrutny naród.

Taką jest legenda, w którą wiary niczem nie wytępisz.

Cheiwa, przebiegła i okrutna—głównie zaś okrutna — Rosya to zmora, która ciąży nad Wschodem. Można też być pewnym, że wytępieniem wiary w tę legendę nie zajmą się nasi przyjaciele z Zachodu, którzy sami postarali się ją wśród mieszkańców Wschodu wytworzyć.

W Kairze z ogromną przyjemnością słuchałem tłumaczenia artykułów gazet arabskich.

Po czczych, bezbarwnych artykułach naszych gazet europejskich, pisanych nie w rosyjskim, francuzkim, angielskim, niemieckim, włoskim lub hiszpańskim, lecz w jakimś «ogólno-gazeciarskim» języku, tak, że wobec ogólnie przyjętych zwrotów, można rozumieć nawet nieznanym sobie język — gazety arabskie robią wrażenie przechadzki po pokrytej kwiatami łące.

Kipi w nich krew arabska. Skrzy się bogata wyobraźnia narodu, który stworzył bajki tysiąca i jednej nocy. Nie ma w nich tych pęt, tych omówień, tych «chociaż», «z drugiej strony».

Jest w nich za to szczyry fanatyzm, czuć w nich wpływ koranu. Chwilami doznaje się wrażenia, że autor, pisząc, patrzył oczyma duszy na widmo wojny świętej. Szalony rozmach stylu i wyobraźni technie starą, «zdobywców świata» krwią arabską.

A jakie kwiaty dzierzga Szecherezada na kanwie rosyjsko-japońskiej wojny!..

Rosya jest to dla nich—«najgroźniejszy, odwieczny, historyczny wróg Islamu». Rosya to dla nich—kraj, niosący krzyż chrześcijaństwa, przeciwko świętemu sztandarowi proroka. Jest to wróg Turcyi i sułtana-kalifa, namiestnika proroka. Kraj, który prowadził nieskończone wojny z Turcyą, a więc i z Islamem, kraj, który prowadzi wojny z Islamem w Azji Środkowej!

— I oto... na Dalekim Wschodzie—powtarzam tu dosłownie—mahometańscy książęta powstali i prowadzą teraz wojnę z wrogiem islamu.

Dlaczego japończycy okazali się «mahometańskimi książętami» jest to «tajemnica arabska», jednym tylko arabom wiadoma!

Zresztą we wszystkich mahometańskich gazetach Indji i Egiptu bardzo uporeczywie twierdzą, co następuje:

— Japonia jest to kraj tak rozumny, tak oświecony, że ani buddaizm, ani bałwochwalstwo nie mogą go nadal zadowolnić. W ostatnich czasach japończycy zaczęli się bardzo interesować religją mahometańską. Nauczanie Islamu robi tam szybkie postępy i podoba się narodowi. Przyłączenie w krótkim czasie do islamu tego rozumnego i oświeconego narodu nie podlega wątpliwości.

Kto stworzył, kto rozprzestrzenia tę legendę wśród mahometańskiego wschodu? Czy japończycy, w celu wzbudzenia ku sobie sympatii świata mahometańskiego, czy przyjaciele anglicy, ażeby podburzyć mahometański wschód przeciw Rosyi, czy też poprostu baśń tę wytworzyła bujna wyobraźnia mahometan, nie podejmuję się przesądzać. Bądź co bądź legenda ta istnieje i wśród mahometan wschodu szybko się rozpowszechnia.

Wojna, podług oświetlenia gazet arabskich, to tylko cząstka ogólnego programu Rosyi—podbicia całego wschodu.

Rosya chce, a raczej chciała zawojować Japonję, bo już w końcu lutego czy w początku marca r. ub. czytelnik gazet arabskich był przekonany, że «dla Rosyi wszystko już skończone».

Flotę rosyjską arabskie gazety zniszczyły już doszczętnie, armię lądową pogrzebały w głębokich śniegach Mandżurji, wskutek okropnych mrozów i śnieżnych zawiei, a «główne przedmurze Rosyi» — Port-Artura był zdobywany, co drugi dzień, przez Japończyków.

Arab, czytając tę wspaniałą epopeję nieprzerwanych zwycięstw japońskich, prawdopodobnie mniemał, że po rosyjsku twierdza nazywa się «Port-Artura», że Rosyanie mają dużo portów Artura, ale zuchy Japończycy odbierają po trzy takie porty na tydzień, wobec czego Portów-Artura w żaden sposób Rosyanom nie wystarczy.

Gazety arabskie wzywały cały świat mahometański do skorzystania z chwili. Anglicy nie dopuściliby otwartego głoszenia świętej wojny; — każdy więc powinien, z czem kto może, przyjść z pomocą «mahometańskim książętom Japonji», walczącym w Mandżurji z «odwiecznym wrogiem Islamu», z «białymi barbarzyńcami» — i «nie dać zgnieść Japonji».

— «Zgnieść Japonię». To brzmi już trochę dziwnie.

I floty zatopione, i armia zmarzła, i wszystkie «Porty-Artura» zdobyte, a mimo to bez za-

dney z zewnątrz pomocy Japonia ma być zgniecioną przez «białych barbarzyńców»?

— A co się tyczy walki mahometańskiego świata z białymi barbarzyńcami... to i wy przecież należycie do rasy białej!—zauważyłem w rozmowie ze znajomym mi angikiem, na temat nastroju panującego wśród arabów.

— No, o to niema obawy—odparł, wskazując na sławną cytadelę Kairu, wznoszącą się przed miastem, niby czekający na komendę „pal“ pluton żołnierzy, przed skazanym na rozstrzelanie i przywiązanim do słupa człowiekiem.

— A co Arabowie myślą o rosyjsko-japońskiej wojnie,—to już ich rzecz. O wzbudzanie na wschodzie sympatii względem Rosyi, Anglicy przecież troszczyć się nie potrzebują. Czytanie w Egipcie gazet europejskich nie sprawiało mi takiej przyjemności, jak czytanie arabskich.

— Kair—to uzdrowisko. I wychodzące tu gazety są w odpowiednim tonie.

— Główne ich informacye to, że:

«Wczoraj u księżnej takiej a takiej było świetne przyjęcie; zauważyliśmy na niem panów takich i panie takie.»

Lub—«Hrabina ta a ta przyjmuje jutro od 4 do 6». Albo wreszcie:

—«Nie możemy nie zaznaczyć z żalem, że minister ten a ten, sympatyczny obywatel z Chicago, wielki przedsiębiorca wędzonych boczków, opuszcza Kair. Wyjazd jego, jak również jego dwóch czarujących córek, mocno zasmuca całe wyższe towarzystwo, w którym minister miał samych tylko przyjaciół».

Po większej części, gazety te są wydawane w języku francuzkim, ale uważają się za gości Anglików.

Dla tego też, jak burmistrz Gogola, obchodzą dzień Imienin i na św. Antoniego i na św. Onufrego.

— Mówią «my», pisząc o sprawach francuzkich.

Lecz mówią jednocześnie: «Nasz rozumny były minister kolonij Chamberlain».

Polityczne ich rozumowania, to po większej części komplementy pod adresem Anglii. Najczęściej wyrażają one nadzieję, że Jego Królewska Mość, Edward VII napisze list...

I natem koniec.

— Jako gazetom, korzystającym z gościnności Anglii, nie wypada im pisać przychylnie o Rosyi, lecz jako gazetom, bądź co bądź, francuzkim, nie wypada też bardzo wymyślać Rosyi.

— Dlatego też ograniczają się na dowcipach, które gospodarza domu, anglika przyprawiłyby o dobry humor.

— Japończycy nie potrzebują czynić specjalnych starań, Rosjanie własnymi minami zatopią flotę swoją.

— Wobec tego, że miny rosyjskie zatapiają własne statki, należy oczekiwać, iż na lądzie artylerya rosyjska będzie strzelać do wojsk rosyjskich.

Dowcip to pełen „delikatnego schlebiania“. Odpowiada on również w zupełności usposobieniu inteligentnych, kierowniczych (przynajmniej formalnie) sfer egipskich i usposobienie to, schlebające, złośliwe, dobrze odtwarza.

IV.

P o r t - S a i d a .

Port-Saida stanął po naszej stronie.

— Port-Saida—to nie miasto, to miejsce pobytu i to pobytu chwilowego, o ile można najkrótszego.

Wąziutki pas ziemi. Z jednej strony morze, z drugiej — olbrzymie bagnisko. Z góry pali egipskie słońce, od bagniska wieją miazmaty malaryi.

Tylko chciwość ludzka może zmusić do życia w tak wstrętnym kącie.

Port-Saida zaludniony jest przez obieżyświatów.

Wszystko co jest najgorszego w Europie, Azji, Afryce, naznaczyło tu sobie «rendez—vous»

Podczas obecnego przejazdu, w jednym z magazynów spotkałem znajomego mi Rosyanina, który jechał z ekspedycją do Abisynii, w celu poszukiwania złota dla Menelika.

— Poczytywałem sobie za obowiązek przestrzedz rodaka.

— Uważaj pan dobrze, co zawijają: zamieniają; przecież to sami oszuści.

Port-Saideczycy mówią wszystkimi językami,—w tej liczbie i rosyjskim. Rodak mój spojrział na mnie z przerażeniem: jakże to można mówić ludziom w oczy takie cierpkie słowa.

«Ludzie» uśmiechnęli się tylko dobroduszenie:—Każdy musi coś zarobić, panie!

Ludzie wiedzą co są warci, to też się nie obrażają.

— I ten oto Port-Saida stanął stanowczo po naszej stronie.

Tłumaczenie proste: Port-Saida okropnie jest zagniewany na Anglików.

Jedyny zaś sposób okazania anglikom swej nienawiści—to być po stronie Rosyi.

— Port-Saida zmienił się do niepoznania.

— Port-Saida był zawsze miastem wolnych obyczajów.

Na okalających wschodnim zwyczajem domy odkrytych werandach, stały niezbyt odziane kobiety, po większej części nieszczęśliwe odeskie żydówki,—i we wszystkich językach krzyczały przechodniom:

Kapitanie, tańce!

Na wystawach księgarni porozkładano nieprzyzwoite książki. Jawnie?

Nietylko jawnie, lecz nawet z napisami:

— «Zabronione». «Nieprzyzwoite».

— W sklepikach obok widoków Egiptu sprzedawano pornograficzne fotografie.

— Proszę wybierać! Wszyscy czynią tu zapasy!

— Handel rozpustą i pornografią dawał Portowi-Saida duże zyski. Był to najpokupniejszy towar.

— Domy gry przy *café-chantantes* były otwarte dniem i nocą,—o każdej porze wejście było wolne. Nikt się nie kępował. Szulerka kwitła.

— Przed domami gry stano i zapraszano.

— Kapitanie! Kapitanie! Monte Carlo!

Było to siedlisko rozpusty, bezceństwa, wesołości, szczeroci i... zysków, kiedy nagle konsul angielski «zaczął walkę». Zaczął śledzić, denuncyować, wywierać nacisk na policję egipską.

Cóż on się tu tak rozporządza? gubernator, czy co?!—wołano w Port-Saidzie.

— I Port-Saida zmienił się do niepoznania: To, o czem mówiono głośno na ulicach, mówią teraz szeptem.

— Skończyły się szczęśliwe czasy Port-Saidu!—wzdychają mieszkańcy. A co to były za czasy! Były to rzeczywiście dobre czasy!.

Proszę nie sądzić by w Port-Saidzie brakło czegoś «dawniejszego». Broń Boże! wszystko zostało, co było przedtem, tylko trzeba się teraz ukrywać. Księgarze muszą trzymać «ciekawych» towar w domu i ukradkiem dostarczać go kupującym:

— Bo zaraz kara!

Handlujący fotografiami muszą stawiać wartość, kiedy kupujący wybiera sobie kolekcję:

— Zaraz zamkną!

Kobiety muszą się rujnować, zajmując wyrostków, którzy na rogach wszystkich ulic wykrzykują szeptem we wszystkich językach:

— Piękne damy!

Nawet gdy chciałem zobaczyć salę gry, gdzie stęsknionych do Europy, powracających ze wschodu ogrywiają w łotrowską ruletę, to i to okazało się sprawą nie zupełnie łatwą.

— Pan do café-chantant?

— Nie, ja chcę zagrać.

Kontroler z wystraszoną twarzą rzucił:

— Proszę usiąść!

Posłał kogoś, gdzieś, komuś, coś powiedzieć.

I zaczęła się «tajemniczość», jakgdyby mnie miano przyjąć do loży masońskiej.

Otworzyły się jedne drzwi—wyjrzała z nich twarz z podczernionymi wąsami i baczkami, spojrzała, czy nie wyglądam na podejrzanego człowieka.

— A to kto taki?

— To dyrektor.

Otworzyły się drzwi, spojrzała jakaś twarz z wąsami jak strzały i czarnymi baczkami.

— A ten?

— Drugi dyrektor!

Trzeci dyrektor także z wąsikami i baczkami zbiegł z góry ze schodów i obejrzał mnie.

Czwarte wąsiki i baczki przybiegły z kądś ze schodów, z dołu.

— Przecież to głupio, do djabła, siedzieć po to, by cię oglądano na wszystkie strony.

— Nie można inaczej szanowny panie! To niedawne czasy!

— A przecież wszędzie w Egipcie, w Kairze są otwarte domy gry. To najswobodniejszy kraj!

— A tu konsul angielski kością nam w gardle stoi!

I kontroler zaczął wymyślać na rząd egipski:

— Jakiż to rząd? Nie umie zachować się z godnością! Podlega jakiemuś tam angielskiemu konsulowi. Ile my na samą policję płacimy!..

A wszystko odbywało się taksamo jak przed trzema, przed siedmiu laty. Gdy tylko na numerach zebrała się znaczniejsza suma, wypadło „zero“.

Czarny, czerwony kolor, numera parzyste, nieparzyste, «passe», «manque»,—wszystko to

wypadało zależnie od tego, gdzie była większa stawka.

Wygrane zależały od rozumu, a nie od szczęścia!

Lecz przy drzwiach stali gospodarze i pilnowali.

Moralności nie zaprowadza się za pomocą środków policyjnych. Środki te doprowadziły też tylko do opodatkowania rozpusty. Policja egipska bierze ile chce. Ale i ona jest bezsilna, gdy konsul angielski rozkaże, by zamknąć lub nałożyć karę.

— Tak wygląda angielska okupacja!

— Rząd egipski nie istnieje! Lecz w Port-Saidzie nienawidzą anglików nietylko ja-wni szubrawcy. Wszyscy kupcy krzyczą:

— Jesteśmy zrujnowani!

Bankructwa następują jedno za drugim.

Port-Saida wciąż podlega, wskutek dżumy, kwarantannie.

Trwa to już trzy lata.

Kolosalne statki australijskie, olbrzymie— okręty niemieckie, ogromne francuskie, z setkami pasażerów, zarczucają w Port-Saidzie kotwice, ładują węgiel i odchodzą, nie wysadzając na ląd pasażerów.

Cały Port-Saida żyje z okrętów i, z chwilą ich zjawienia się, ożywia się.

— Przyszedł statek o piątej z rana,— wszystkie sklepy się otwierają, domy gry i t. p. gotowe do usług o piątej rano.

Każdy statek zostawia jedną, dwie, trzy, setki «funtów».

— A teraz... «otwierający podwoje» Port-Saida zamyka je zaraz wobec olbrzyma ze ściągniętymi schodami okrętowymi i pływającą obok kwarantannową szalupą. A pokłady—czernią się od podróży.

Cóż jednak robić? Na to niema rady: dżuma.

Jeden ten wyraz i hurtowników i detalis-tów, i otwarcie i skrycie szachrujących handlarzy w Port-Saidzie doprowadza do szaleństwa!

— Co za dżuma? Dżuma w Port-Saidzie?

Jakiś jeden, lub dwa wypadki—i zaraz— dżuma i kwarantanna! Przecież u nich w Indjach, przeklętych Indusów zdycha, jak piszą, po 46—100 tysięcy na tydzień!

— Ale z Bombaju dziesięć dni drogi.

— A jest to prawem przepisany wobec dżumy termin kwarantanny.

— Z Bombaju?

— Czy w Adenie niema dżumy?

— Anglicy przecież, wszędzie ją z Indji rozwożą!

— Czy w Adenie jest dżuma?

— Jest tam bezustannie. Więc co z tego?

Z Adenu do Port-Saidu jest cztery dni drogi, z Port-Saidu do Brindizi—dwa. Razem sześć. Gdzież jest prawem przepisany dziesięciodniowy termin?.

Tymczasem w Brindizi dla pasażerów angielskich statków niema żadnej kwarantanny. Być może jest on zadzumiony, i wskutek tego wypuszczają zeń na cztery dni przed końcem kwarantanny, niech szerzy zarazę? Ale dlaczegóż w takim razie trudności w Port-Saidzie!

Toć kto zawinie do Port-Saidu, w ciągu dziesięciu dni nigdzie pokazać się nie może.

W Porcie-Saida są głęboko przekonani, że anglicy obserwują kwarantannę celowo, aby zrujnować wszystkich: greków, lewantyńczyków; że dążą oni w ten sposób do tego, aby w Porcie-Saida cały handel przeszedł w ręce angielskie. Nie wytrzymamy, zbankrutujemy, a wtedy kwarantanny zostaną zaniechane! Anglicy odkryli dobrą miejscowość: i oto ze wszystkich znajdujących się w niej statków ciągnąć będą zyski. Żywność dla statków, podzwrotnikowe ubra-

nie dla pasażerów, przedmioty wschodnie, powracającym do Europy, — wszystko to będą sprzedawali anglicy. My czujemy, najlepiej, na własnej skórze czujemy, do jakiego stopnia rujnują nas anglicy. I zrujnują niezadługo. Proszę zajrzeć tu za lat trzy.

Jeśli zaś wyrazi się powątpiewanie w słuszność ich przewidywań, wskażą panu na to, że liczba firm angielskich w Porcie-Saida wciąż wzrasta, kosztem bankrutujących firm greckich, lewentyńskich, arabskich. Ta nienawiść do anglików sprawiła właśnie, że serca mieszkańców Portu-Saida są przepełnione sympatją ku nam.

Na każdym kroku daje się słyszeć:

— Co też ci anglicy wyrabiają z Rosyanami. Aż złość bierze nas, ludzi obojętnych.

I opowiadają o szykanach, dotyczących ładowania węgla, o wzbronieniu torpedowcowi rosyjskiemu wejścia do doku dla naprawy uszkodzeń, o wypadkowo jakoby osiadłym na mieliźnie w poprzek kanału statku angielskim, w tym właśnie czasie, kiedy miała przechodzić przez kanał eskadra admirała Wirenusa.

Wytworzyła się nawet cała legenda:

— Koniec końcem, Maksimow, — rosyjski konsul generalny w Kairze, — człowiek energiczny

udał się do kedywa i zapytał: «Proszę mi objaśnić, kto jest kedywen w Egipcie: Wasza Mość, czy też konsul angielski w Porcie-Saida?»

To stropiło kedywa. Zmienił nieco politykę!

Gawędziłem z bardzo zacnym człowiekiem,— jednym z bardzo niewielu zamieszkałych w Porcie-Saida porządnym ludzi. Osiadł tu dawno i był dobrze wtajemniczonym we wszystkie tujsze stosunki.

Machnął ręką:

— Cóż poradzić? Zapewne, wszystko to prawda. Ale co zrobić? Kanał Sueski, w razie wojny, obowiązującym jest stosować do obydwóch stron walczących środki jedne i te same. Za protestuj pan przeciw któremukolwiek ze środków—administracja kanału odpowie: «My nie tylko dla was przedsięwzięliśmy ten środek. Gdyby zjawili się japończycy, zastosowalibyśmy te same przepisy i wobec japończyków».

— Ale japończycy na morzu Śródziemnym statków nie mają. Administracja odpowie na to: «A nam co do tego»? I w ten sposób wytwarza się sytuacja tego rodzaju, że: «Środki obowiązujące obydwie strony» w rzeczywistości stosowane są wyłącznie tylko do rosyjan. Ku temu też wszystkie one zmierzają.

W Porcie-Saida bywałem po wielokroć razy; i mam tam dużo znajomych. We wszystkich znajomych sklepach, zapytywano mnie zaraz na wstępie:

— A o japońskim szpiegu pan słyszał?

W Port-Saidzie przed jego mieszkańcami trudno się ukryć. Miasto jak na dłoni, a i mieszkańcy wyborowemu szpiegowi japońskiemu nie ustąpią. To tylko kwestya zapłaty.

— Jakiego japońskiego szpiega?

Wszędzie i zawsze komunikowali mi jedne i te same szczegółowe wiadomości.

Zainteresowało mię to, sprawdziłem i przekonałem się, że wiadomości były prawdziwe.

Przed wojną na hamburskim statku przyjechał do Port-Saidu japończyk, nazwiskiem Kamachara, z lokajem swoim, również japończykiem. Mieszkał tu dwa miesiące i wyjeżdża na statku francuzkim, na którym i ja miałem jechać.

Proszę zwrócić uwagę na czas odjazdu: eskadra admirała Wireniusa tylko co ostatecznie odpłynęła z powrotem na morze Śródziemne!—Do tej pory siedział.—Dłużej nie ma tu co robić.

Mieszkał początkowo w hotelu «Savoy», nad brzegiem morza, potem przeniósł się do hotelu «Continental». A może siedział tu dla własnych interesów?

Nie miał tu żadnych interesów. Wiemy o tem, że nikt z mieszkańców do niego nie zachodził, również wiemy, że nie był w żadnej firmie.

Zasięgnąłem informacyi w hotelach: rzeczywiście do japończyka nikt nigdy nie zajrzał, przechadzki odbywał samotnie.

— Przechadzał się po wybrzeżu, po ulicach, lecz nie wstępował nigdzie—zapewniał mnie szwajcar. Interesowało nas, co to za jeden ów japończyk—patrzyliśmy, a i nasi komisionerzy obserwowali także dla jakich on interesów tu siedzi. Japończyk chodził tylko do biura telegraficznego. Depesze wysyłał codziennie.

W Port-Saidzie wszystko wiedzą:

— Telegramy do Japonji.

— A skądżeż wy wiecie, że do Japonji?

— My?

Dziwili się nawet, że pytam.

— Jakże nie wiedzieć dokąd kto posyła depesze. Przytem cyfrowane.

— Ale z kądże już o tem możecie wiedzieć?

— Depesze były w języku angielskim, a odczytane nie miały najmniejszego sensu, były więc cyfrowane.

-- Ależ depesza to tajemnica!

W Port-Saidzie?

Wydawało się istotnie bardzo prawdopodobnem, że jegomość, przyjechawszy jeszcze przed wojną, śledził tu ruchy statków rosyjskich. Gdy zaś eskadra admirała Wirenusa ostatecznie odpłynęła z powrotem, odjechał również ze swego obserwacyjnego posterunku. Samo przesiadywanie w Port-Saidzie w ciągu dwóch miesięcy bez żadnego interesu wskazywało, że było to nie bez celu.

Nie turysta, przecież! od założenia Port-Saidu nie było jeszcze wypadku, aby ktokolwiek w tej wstrętnej dziurze przesiedział dwa miesiące «dla przyjemności».

Gorszego chyba miasta nie znalazłby turysta!

I cały Port-Saida tylko wzdychał:

— Rosyjanie nie mają tu agentów, a wieleby się ciekawego dowiedzieli.

— Czego mianowicie?

— A wszystkiego. O statkach, które idą do Japonji z węglem, lub innymi zasobami wojennymi. Czy pan myśli, że my nie wiemy, kto, dokąd i z czem jedzie?

— Ale zkądże wiecie?

Pytanie to wprost ubliżało mieszkańcom Port-Saidu.

— Przecież majtkowie włóczą się po mieście, spijają się? Jakżeby w Port-Saidzie czegoś

nie wiedzieli?! Ach, Panie! Ależ my o każdym statku wiemy—co ma na dnie, na samym spodzie! Jeżeli gdzie śledzić wojenną kontrabandę,—to tylko tu, w Port-Saidzie, urządzić obserwacyjny posterunek!

I ja rzeczywiście sądzę, że obecnie, przy ogólnem rozgoryczeniu Port-Saidu, ci wszechwiedzący, przebiegli ludzie mogli by dostarczać bardzo ciekawych i cennych wiadomości,—jedynie dlatego, że to:

— Anglikom po nosie!

Japończycy, prawdopodobnie, nie omieszkali by należycie wyeksploatować podobnego nastroju.

V.

Spotkanie z bohaterami „Warjaga“.

W Port-Saidzie lada chwila oczekiwano «Malaji», z załogą «Warjaga» na pokładzie.

Port-Saida był wzburzony.

Chodziły wieści. Gotowano się do wielkiej bitwy.

Francuzi chcieli urządzić owacyę naszym bohaterskim marynarzom. Anglicy postanowili urządzić w takim razie kontr-demonstracyę.

Trzeba jednak zaznaczyć, jacy to byli anglicy?

Nie należę do wielbicieli anglików. W ich charakterze, stosunkach społecznych, zachowaniu się względem zwyciężonych, szczególnie zaś w ich polityce—rażą mię. Nie lubię anglików—ale ich znam.

Ztykałem się z nimi bardzo wiele i uznaję w nich ludzi rozumnych, praktycznych i dzielnych.

Jakaś tajemna lub jawna akcyja na naszą szkodę. Systematyczne dyskredytowanie nas w prasie, w celu usposobienia przeciwko nam opinji publicznej—to do nich podobne: ale uliczna «kontr-demonstracya»—wydałaby się anglikom rzeczą zbyt niepraktyczną, za mało poważną, bez zrozumienia interesu, nierozsądną. To też zgadzam się całkowiec ze zdaniem naszego konsula w Port-Saidzie p. Bronna:

— Jacy też to anglicy? Znajdujące się tu szumowiny angielskie!

Nie mniej, demonstracya i kontr-demonstracya, przygotowywały się.

Skończyło by się to, prawdopodobnie, starciem pomiędzy francuzami i tą angielską hołotą, która ważyła by się na skandal uliczny.

Lecz wszystko złożyło się inaczej.

«Malajia» przyszedł pod flagą kwarantannową.

W Port-Saidzie była dżuma, i dla uniknięcia kwarantanny w Odessie, nikomu nie pozwolono zejść na ląd.

Było to wczesnym rankiem.

«Malajia» tylko co przybił do brzegu.

Nasz parowiec miał odejść za 20 minut.

Skorzystałem z tej przerwy, nająłem szalupę i popłynąłem ku «Malaji». Wybrałem się w imieniu swoim i kilku rosyjan, jadących na tymże, co i ja, statku francuzkim.

Ale dobiłem tylko do burty.

Schody «Malaji» były podniesione; pomiędzy moją łodzią, a statkiem stała szalupa straży kwarantannowej.

Wzdłuż burty «Malaji», w żółtych z żaglowego płótna kurtkach, w kapeluszach słomkowych, stali ogorzali, wyszli z pod ognia dział obrońcy rosyjskiego imienia.

— Czy nie możnaby poprosić do burty którego z oficerów «Warjaga»?

Serce mi zamarło i kurcz ścisnął gardło, gdy usłyszałem zuchowatą odpowiedź.

— Jest!

Lubię naszą flotę, dlatego, że ją znam dobrze, znam jej tryby, wiem, ile pracują nasi marynarze. Wiele razy i na wielu morzach widziałem, jak się przygotowywała do tej chwili, w której życie trzeba będzie poświęcić w obronie sztandaru, który podnoszą i opuszczają z honorami, przed którym każdy, według zwyczaju żeglarzy, powinien wchodząc na okręt uchylić czapki. Nadejdzie chwila, w której za ten sztandar trzeba będzie oddać życie.

Widziałem bezustanne przygotowania do tej strasznej chwili. I pierwsze niepowodzenia,— poniesione wskutek zdradzieckiego napadu,— napełniły, nie mogły nie napełnić serca gorzkim uczuciem niezasłużonej krzywdy—«Za co»?

— Rozbójniczy napad... Ale co pomyślą o naszych marynarzach ci, którzy nie widzieli, nie znali ich pracy? Bohaterski czyn «Warjaga» był potrzebny. Był on konieczny, ażeby niezwłocznie okryć flotę rosyjską tą sławą, na którą ona zasługuje.

Czytałem przedtem szczegóły o walce «Warjaga» w nieprzyjaznych gazetach, które mówiły o «niepotrzebnej sprawie, niepotrzebnym wyjściu dwóch statków rosyjskich przeciwko ca-

łej eskadrze». Jeżeli honor nic nie wart,—wtedy, zapewne, ich bohaterski czyn był niepotrzebny. Obecnie, gdy się tak dużo mówi o wojnie, o bohaterstwie, pozwolę sobie przytoczyć jedno słowo Cogny, wyrzeczone z powodu jakiejś sprawy o pojedynek:

— Było by bardzo smutno, gdyby się choć od czasu do czasu nie znajdowali ludzie, stawiający honor wyżej niż życie.

I ludzie ci, którzy szli na śmierć niechybną, aby bronić honoru rosyjanina, byli teraz przedemną.

Tacy skromni i prości, jak zawsze. Majtkowie o dobrodusznym twarzach, z ciekawością, spoglądali na rosyjanina, spotkanego niespodzianie tak daleko od Rosyi, na obczyźnie.

Do burty podszedł pierwszy doktor i zakomunikował mi «co słyhać w jego wydziale».

— Ranni, chwała Bogu, wszyscy mają się lepiej.

Za nim do burty podszedł starszy oficer Stepanow, i gdym mu powiedział, że ich czyn bohaterski wywołał zachwyt i wdzięczność całej Rosyi,—wzruszony spytał:

— Doprawdy?

Proszę się zgodzić, że trudno wyobrazić sobie coś więcej zachwycającego skromnością, jak owo pytające:

— Doprawdy?

Zastąpiłem ich w radosnem wzruszeniu. Na statku otrzymano przed chwilą depezę, zwiastującą, że całą załogę «Warjaga» zaszczycono orderami św. Jerzego.

Nowina ta, od dwóch tygodni wiadoma już całemu światu, była nieznaną tylko tym, których dotyczyła.

Oni byli na oceanie.

Stepanow wzruszonym głosem krzyknął,— z powodu oddalenia trzeba było krzyczeć,—tą starą dla mnie nowinę.

Była to chwila jednego z najsilniejszych wzruszeń, jakich doznałem w życiu.

Widzieć bohaterów, rodaków, wybawionych od niechybnej zagłady, rozradowanych, szczęśliwych.

Cóż to za rozkosz!

— Pan jesteś drugim rosyjaninem, którego widzimy od tej pory. Proszę powiedzieć kolonii rosyjskiej w Colombo, że ich serdecznie pozdrawiamy i wyrazić im głęboką wdzięczność za przychyłność i przyjęcie. Proszę im powiedzieć, żeśmy wszyscy zdrowi.

Nie łatwo mi było mówić z powodu dławiących mnie łez.

To było zanadto wzruszające: ludzie, którzy nieśli życie w ofierze, dziękują za przychyłość!

Widocznie, nie łatwo było także i Stepanowowi prowadzić rozmowę z rosyjaninem. Głębokie wzruszenie słychać było w jego głosie.

Krzyknęliśmy sobie nawzajem:

— Szczęśliwej podróży!

I, podług dobrego, starego żeglarskiego zwyczaju, trzykrotne «hurra» huknęło na cześć odjeżdżającego rodaka.

Mgła łez zasłoniła mi oczy.

«Hurra» tych ludzi grzmiało i w Czemulpo.

I moje słabe, oderwane «hurra» słyszałem, prawdopodobnie, tylko ja,—albowiem łyzy zupełnie ścisnęły mi gardło.

VI.

Szpieg japoński.

Gdym wszedł na swój statek,—pierwszy człowiek, którego spotkałem na pokładzie, był to p. Kamachara. Z lornetką przez ramię, z miłą spokojnego turysty.

W drodze okazało się, iż mówi on po angielsku. Francuzi zapewniali, że mówi on świetnie po francuzku i wszystko podsłuchuje.

«Szpiega japońskiego» wszyscy unikali.

My, jadący na statku rosyjanie, byliśmy z ciekawieni, czy rozumie on po rosyjsku?

Nie mając nic lepszego do roboty, wymyśliśmy łobuzerskiego figla.

Wieczorem na tyle statku,—wokoło nie było żywej duszy,—podeszliśmy do stojącego samotnie u burty japończyka.

Staaliśmy w pobliżu i zaczęliśmy rozmowę o rozmaitych rozmaitościach.

Japończyk stał spokojnie.

Wtedy jeden z nas tonem zwyczajnym, nie podnosząc głosu, nibyto ciągnąc dalej zaczęłą rozmowę, rzekł:

— A co, panowie, gdyby tak sąsiada zrzucić...

Umyślnie nie mówiliśmy «japończyka».

— Jeżeli by go wyrzucić za burtę, to zanim usłyszą, wskutek wiatru, jego krzyk i spuszczą łądz ratunkową,—utonie bez świadków.

Japończyk obejrzał się na nas i szybko odszedł od burty w stronę kajut.

Potem, widocznie, unikał on spotkania sam na sam z rosyjanami. Przy spotkaniu skręcał, i siedł w ludniejsze miejsce.

Nasza «kolonia rosyjska» na statku zdecydowała stanowczo, że po rosyjsku rozumie.

Położenie japończyka było okropne.

Francuzi go unikali—on unikał rosyjan. Jedynie jego towarzystwo składali dwaj hiszpańscy wojenni attachés, jadący do armii japońskiej.

Do jadących dla zarządu «Nissinem» i «Kasuga» włochów—inżynierów, niewiadomo dlaczego, nie podchodził, chociaż oni mówili po angielsku.

— Co za dziwne amatorstwo płynąć na statku francuzkim, wśród ogólnej niechęci? Dlaczego nie płynie na angielskim?—zastanawiali się wszyscy.

Odpowiedź na to pytanie, otrzymałem już wcześniej, w Port-Saidzie.

— Proszę zauważyć, mówiono mi tam,—że wszyscy japończycy i wszyscy potrzebni japończykom ludzie podróżują obecnie, wyjątkowo, na statkach francuzkich.

— Dlaczego?

— To bardzo naturalnie. To statki zaprzyjawnionego narodu. Nie zatrzymają ich—bezpieczniej.

VII.

Syngalezi i japończycy.

— Fort.

Tak po staremu, groźnie, nazywa się najspokojniejsza obecnie część miasta, handlowe centrum Colombo.

Przejeżdżając przez port, zwróćcie uwagę na maleńki sklepik, pod arkadami, około którego, w ciągu dwunastu godzin, od wschodu do zachodu słońca, od 6 rano do 6-ej wieczorem, tłoczą się Syngalezi.

Około sklepiku porozwieszano obrazki, na których goreją bomby, wzbijają się po nad maszty błękitne słupy wody, ciemności przecinają białe smugi elektrycznych reflektorów.

Na progu sklepiku stoi maleńki japończyk i bez przestanku trajkocze—objaśniając przychodzącym i odchodzącym treść obrazów.

Oto zwycięstwo, odniesione przez japończyków wtedy to, a wtedy... A oto zniszczenie statków rosyjskich tam, a tam...

W sklepiku siedzi zawsze w żółtej opończy bronzowy kapłan buddyjski.

W zwykłym czasie jest to spokojny sklepik japońskich naczyń, wachlarzy, wyrobów z laki, z szyldem:

«Osobliwości japońskie».

Obecnie jest to główna japońska «ajencya telegraficzna», środowisko wszystkich wiadomości o zwycięstwach japońskich.

Posłałem swego służącego — «boja», aby kupił mi japońskich obrazków.

Przyniósł ich z pół tuzina.

— Powiedzieli, że najciekawsze z nich, zdobycie Portu-Artura, będą tu za dwa tygodnie. Już je wysłali z Japonii. Już są w drodze. Przejżdżałem często koło sklepiku, — zawsze było w nim tłumnie.

Malowanki te są dosyć drogie, po 30 do 60 kop. na nasze pieniądze, lecz syngalezi rozkupują je chętnie.

Wszystkie mieszkania syngalezkie będą w końcu upiękzone zwycięstwami japońskimi.

Zachodziłem często do sklepiku kupić to i owo, i zawsze w sklepie, na widocznym dla tłummu miejscu, rozwalony, z wyrazem znudzenia na twarzy, siedział udrapowany w oponczę kapłan buddyjski. Widocznie najmowali tych błę-

dnych i stosownie do obowiązujących ślubów żebrzących kapłanów. Taka obecność buddyjskiego kapłana—to sprytny pomysł. Przypomina ona najmniej oświeconemu Syngalezowi, że walczą współwyznawcy.

Wątpię zresztą, czy sympatye ludności Cejlonu potrzebują rozdmuchiwania.

Syngalezi namiętnie, całą duszą, sprzyjają Japonii.

Naród, który zapomniał nawet o tem, że istnieje samodzielność, naród zawsze należący do kogoś,—do Portugalczyków, Holendrów, Anglików—z przejęciem czyta i słucha o narodzie buddyjskim, który tak świetnie wojuje.

— Jakim męstwem i jaką mądrością przepenia serce nasza religia Buddy!

Zjawili się astrologowie.

Ludność buddyjska jest bardzo zabobonna,—przepowiednie astrologów mają tam ogromne powodzenie. Drukują je nawet w gazetach.

Pierwszy zjawił się astrolog Senawiratne, pochodzący z miejscowości Urogadamatte. Przepowiednia jego była wydrukowana w gazecie «Indépendent». Nic dziwnego—gazeta ta jest własnością bogatych Syngalezów.

Jeśli pan spytasz Anglika w Colombo:

— Co to za gazeta «Indépendent»?

Odpowie z tym pogardliwym uśmiechem, z którym Anglicy mówią o «kolorowych».

— Pachnie czarnymi!

Gazeta ta w numerze z dnia 21 kwietnia wydrukowała:

Przepowiednia na zasadzie obliczeń astrologicznych.

«Pomiędzy 23 a 27 kwietnia będzie okropna bitwa morska, a 27 Japończycy odniosą zwycięstwo, skutkiem którego może być zdobycie Portu-Artura».

Tego było dosyć.

Nawet kierowniczy organ opinii, czysto angielska gazeta «Times of Ceylon», zaczęła potem drukować «przepowiednie» astrologów.

Wynalazła ona drugiego Syngaleza—astrologa Abejsikere.

I zaczęły się przepowiednie:

Japończycy wygrają.

Znajdują się bliżej słońca i to stwarza ich potęgę.

Przepowiednie na zasadzie astrologii.

«Japończycy znajdują się bliżej słońca, to jest bliżej jego wschodu, o 1000 mniej więcej mil, w porównaniu ze wszystkimi innymi na-

rodami świata. W ten sposób, słońce oddziaływa na nich daleko silniej; wskutek czego są oni potężni, rozum ich prędko się budzi, i są zręczni we wszystkich sprawach swoich, a szczególnie w wojnie. W tej wojnie zwyciężą nie tylko na morzu, lecz także otrzymają przewagę na lądzie i odniosą zupełne zwycięstwo. Pozostają i t. d. Abejsikere».

WOJNA I PLANETY.

Przepowiednie miejscowego astrologa.

«Za pomocą astrologii odkryłem, że planeta Jowisz, znajdująca się obecnie w pełni sił wraz z Marsem, «bogiem wojny», pomagają cesarzowi japońskiemu w tej wojnie,—albowiem planety owe nienawidzą pychy Rosyi, która wywołała wojnę. Nie może wybuchnąć ani jedna wojna na ziemi bez wiedzy planet. Do 15 czerwca Japończycy ciężko pracować będą na wojnie i, dzięki Jowiszowi i Saturnowi, który jest także w pełni sił, wielkie nieszczęście spotka Rosyę; to też z jej strony myśl o zwycięstwie jest złudzeniem. «Japonja odniesie całkowite zwycięstwo».

Wcale niezłe te «przepowiednie losu», o ile są przeznaczone do wyciągania przez tresowane

ptaki, ale jako artykuły umieszczane w gazecie angielskiej, to szczyt naiwności.

Można nienawidzić, ale nawet nienawiść nie powinna doprowadzać do głupoty.

Jak daleko sięgają sympatyje ludności Cejlonu względem Japonii? Czy istnieje tu widmo «żółtego niebezpieczeństwa»? Czy krzewi się propaganda japońska ogólnego powstania żółtej Azji przeciwko «białym», pod egidą Japonii?

Spokojna, zniewieściała pod wpływem przyrody, leniwa ludność Cejlonu o niczem podobnem nie marzy.

O ile wogóle niegroźny jest naród Syngalezów, dowodzą tego nieliczne załogi na Cejlonie, liczące nawet nie tysiące ale setki żołnierzy angielskich.

«Siła wojenna» Cejlonu—to ochotnicy: subjekci, drobni urzędnicy, którzy w sobotę wieczorem «stają pod sztandarem», całą niedzielę maszerują, strzelają, robią niewielkie «wyprawy», urządzają odpoczynki, rozbijają obozy, a w poniedziałek rano zasiadają przy swoich biurkach w samych kamizelkach, pod chłodzącymi wachlarzami «pankerami», i piszą listy kupieckie.

Zabawa w żołnierzy! Jest to doskonały rodzaj sportu, wyborna rozrywka wśród nudów kolonialnego życia.

Tam, gdzie istnieje niebezpieczeństwo,—Anglicy utrzymują wojska. Niepotrzebne one widocznie wśród «lojalnej» i spokojnej ludności Cejlonu.

Japończycy są zbyt rozumni na to, by ludność Cejlonu podburzać do powstania przeciwko białym!

Interesy Japonji i Cejlonu nie mają ze sobą nic wspólnego. Jakkolwiek istnieje tu niezadowolenie z Anglików,—jakkolwiek mieszkańcy Cejlonu skarżą się na znaczne stosunkowo ciężary, na lekceważący stosunek «dżentelmenów» do najwięcej nawet inteligentnych, posiadających wykształcenie uniwersyteckie żółtych, to jednak niezadowolenie te nie objawia się nigdy w zbyt ostrej formie i nie jest wstanie wywołać powstania tak leniwego, tak rozpieszczonego przez naturę, jak Syngalezi, narodu.

W zasadzie ludność Cejlonu jest zupełnie zadowolona z istniejącego stanu rzeczy.

Od siedmiu lat nie byłem na Cejlonie, i znalazłem, że nie tylko stał się zamożniejszym, ale wprost ogromnie się wzbogacił.

Dorabiają się tu nie tylko Anglicy, ale i Syngalezi.

Tubylcy, którzy siedem lat temu, byli właścicielami bezwartościowych pustkowi,—są obecnie milionerami. Wartość ziemi olbrzymio wzrosła.

Colombo rozrosło się do niepoznania.

A co dzieje się wewnątrz kraju! Jak znakomicie rozwinęły się plantacje herbaty! Syngalezi to rozumny naród.

Umieją oni wyzyskać położenie i zagarniają dla siebie najłżejsze i najkorzystniejsze zajęcia.

Do pospolitych, ciężkich i trudnych robót, sprowadzają oni cierpliwą «sudrę»—upośledzoną kastę Tamilów, z południowych Indyj.

Pracują wszędzie Tamilowie, prowadzą roboty Syngalezi.

Dobrobyt rozlewa się też na całą ludność tubylczą. Odbija się to na mieszkańcach i ubiorze ogółu mieszkańców, nie mówiąc już o istnieniu wśród nich niezwykłej ilości krezusów.

Wśród eleganckich parków, ciągną się wiorstowe aleje, zabudowane wspaniałymi willami i pałacami.

Przed wieczorem, podczas corso, Syngalezi imponują najwspanialszemi zaprzęgami, rasowymi końmi, wystrojonymi lokajami.

I dobrobyt ten trwać będzie bez końca.

Na północy wyspy znajdują się olbrzymie, niesłychanie bogate, i niezbadane prawie przestrzenie.

Wszystko to ożyje, wszystko to da zarobki olbrzymie i przyniesie miliony!

Cały Cejlon zajęty jest obecnie, wprost zaabsorbowany, nie kwestyą białych i żółtych, ale sprawą plantowania drzewa gumowego.

Jest to przemysł bardzo zyskowny.

— Co, jednakże jest zyskowniejsze: plantacje herbaty, czy plantacje drzewa gumowego? Drzewo gumowe, o ile znajduje się w pobliżu plantacji herbaty, nadaje ostatniej obrzydliwy smak.

— Czuć ją starym kaloszem.

Co lepsze? Przerzucić się do interesu gumowego, czy pozostać przy plantacjach herbaty?

Oto najważniejsza, najistotniejsza kwestya, zajmująca obecnie cały Cejlon.

Nienawiść do Anglików?

Ależ marzeniem każdego Syngaleza jest być jaknajwięcej podobnym do Anglika.

Ubierają się oni jak Anglicy, jedzą tyle razy i o tej porze, co i Anglicy, zajmują się tym samym sportem, temż zabawami, co Anglicy.

Z dumą też nazywają siebie: czarnymi Anglikami.

Na Cejlonie odbywa się jakaś wspaniała uczta.

Ożywiona dzięki angielskiej przedsiębiorczości i energii najbogatsza w świecie przyroda daje miliony.

Jest to deszcz złoty, zalewający jednych potokami, ale i na innych spadający grubemi kroplami. Syngaleska arystokracja to milionerzy. Syngaleska inteligencja to lekarze, adwokaci, sędziowie. Syngaleską półinteligencją obsadzone są wszystkie banki, biura i kantory.

Lud prosty znajduje świetne zarobki i, będąc rozumnym, sprytnym, oraz leniwym, umie wynaleźć sobie najkorzystniejsze i najmniej uciążliwe zajęcia.

Nie należy opierać swoich wniosków na słowach tych Syngalezów, kupców i dostawców, z którymi mają do czynienia nasi marynarze i zagląający na Cejlon Rosyanie.

Syngalezi—to rozumny i przebiegły naród.

— Ach, żebyś pan wiedział, jak my nienawidzimy Anglików!

Wiedzą oni dobrze że się to klientowi podoba.

— Rosyanie—to taki wspaniałomyślny naród!

Po takim komplementcie Rosyanin nie będzie się targował o jakąś tam rupję:

— Trzeba, przecież, podtrzymać takie sympaty!

Słuchasz o niechęci do Anglików, o uciążliwości angielskiej niewoli, a gdy podsumujesz wydatki, przekonasz się, że każde wynurzenie niechęci ku Anglikom kosztowało cię kilka rubli!

— Laska nie hebanowa. Malowana! A łajdak, jakto zapewniał, że nie lubi Anglików! Żadne widmo «żółtego niebezpieczeństwa» nie unosi się nad Cejlonem i milionami jego mieszkańców, Anglicy nie są przecież głupi. Gdyby istniało jakie pod tym względem niebezpieczeństwo, gdyby zwycięstwa japońskie działały w tym kierunku na umysł i stwarzały takie myśli, czyżby Anglicy wydawali po trzy razy na dzień, gazety z dwoma dodatkami depesz,—rozgłaszających zwycięstwa Japonii?!

W czymże objawiają się sympaty ludności Cejlonu względem Japonii?

Oto w ofiarach pieniężnych na rannych i na rodziny zabitych. W modlitwach i składaniu ofiar o «zesłanie zwycięstwa Japończykom». Składki na rzecz wdów i sierot poległych Japończy-

ków płyną obficie. Gazety drukują codziennie listy coraz nowych i nowych ofiar, olbrzymio długie rodowe nazwiska syngaleskie, a tuż obok krótkie i głośnie: Silwa, Diego, Rodrigo.

To także Syngalezi, którzy jeszcze za czasów panowania Portugalczyków, przyjęli hiszpańskie nazwiska.

Dają składki po większej części ludzie bogaci. Lud prosty modli się za Japończyków.

Ludzie bogaci okazują ofiarność z dwóch powodów. Aby być podobnymi do Anglików:

— Czujemy i myślimy, jak prawdziwi «dzentelmeni».

A także, aby dogodzić ludowi:

— Jesteśmy dzentelmeni, ale zarazem dobrzy buddyści,—składamy też ofiarę na Japonję.

Są i Syngalezi, sprzyjający Rosyanom, ale to rzadkie wyjątki, a sprzyjać trzeba w wielkiej tajemnicy.

A oto fakt autentyczny. Do jednej z gazet przyszedł Syngalez z ofiarą na rzecz rodzin zabitych i ranionych Rosyan.

— Od kogo? Pańskie nazwisko?

— Nie, nie, nie!

Przestraszył się.

— Proszę nie drukować! Jeszcze gdzie wieczorem, w pomroce, nożem ugodzą! Nie, nie! proszę nie drukować, że od Syngaleza!

A oto drugi ciekawy szczegół. W Kendi, w świątyni «zęba Buddy», są słynne obrazy, przedstawiające męki grzeszników.

Pomiędzy niemi obraz: jak będą karani ci, którzy zabijają... małe stworzonka, zamieszkujące głowy niektórych ludzi.

«Mordercy» tacy z rozpuszczonemi długimi włosami miotają się otoczeni falami ognistemi, a złe duchy mordują ich ogromnemi pałkami, tak jak oni mordowali «tamte». Jakże, jednak, postępują w «podobnych wypadkach» Syngalezi?

Razu pewnego Benjamin Franklin znalazł u siebie na rękawie małe, lecz gryzące stworzenie, zdjął je i puścił na ziemię, rzekłszy:

— Idź, maleństwo. Świat dosyć jest wielki, byśmy się na nim pomieścili: ty i ja.

Syngalezi postępują, jak Franklin. Przejeżdżając przez wieś syngaleską, ujrzenie dziesiątki scen pojmania i puszczania stworzeń tych na wolność.

— Zabijać to grzech!

Pomimo to, zabójstwo człowieka jest najczęstszem przestępstwem pośród Syngalezów.

— To sprawa bardzo prosta. Wieczorem, z za węgła, nożem w bok!—objaśniają panu.

I o zabójstwach czyta się codziennie w gazetach.

Oto religia i zastosowanie jej w praktyce!

Składki na rzecz rodzin zabitych na wojnie Rosyan zaczęły się w ten sposób, że jakiś Anglik pomieścił w gazetach list:

— My odznaczamy się zawsze bezstronnością.

Trzeba zaznaczyć, iż stało się to zaraz potem, gdy wszczął się huczek o wrogiem usposobieniu angielskiej prasy, i gdy w miejscowych gazetach zjawiły się depesze o tem, że w Moskwie i Petersburgu Rosyanie zaczynają bojkotować angielskich kupców.

— My odznaczaliśmy się zawsze bezstronnością!..

Dlaczegoż mamy zbierać składki tylko na rzecz Japończyków? Będziemy je zbierali na rzecz poszkodowanych obu stron walczących.

Lista ofiar została otwarta, lecz sprawa nie miała powodzenia.

Stosunek wypadł następujący: gdy na rzecz Japończyków wpłynęło 7000 rupij,—na rzecz Ro-

syjan uzbierało się zaledwie 1500 rupij, czyli 4200 i 900 rubli.

We wszystkich hotelach, na dworcach kolei, wywieszono listy ofiar z dwoma rubrykami:

— Dla rannych Japończyków i dla Rosyan. W rubryce «Japończycy» długa lista. Pod rubryką «Rosyanie», po większej części, nieczytelnie skreślone jedno, dwa nazwiska, oraz cyfry.

— 2 centy, 1 cent.

To jest około dwóch groszy, grosza.

Dowcipne!

I bardzo często przypisana ołówkiem ostra uwaga: To brak taktu otwierać listę składek, skoro można było przewidzieć «takie skutki».

Zwiedzając buddyjskie świątynie, pytałem bonzów i kapłanów:

— Czy zanoszą u was modły za zwycięstwo Japończyków?

Odpowiadano mi wszędzie:

— A jakże. Wierni przynoszą Buddzie kwiaty i modlą się.

W Kandi byłem w świątyni «świętego zęba», w wilję nowego roku buddyjskiego.

Był to fantastyczny obraz.

Noc. Nad głową niebo, usiane wielkimi, błyszczącymi, jak ogromne brylanty, podzwrotni-

kowemi gwiazdami. Dźwięk gongów. Huk olbrzymich bębnow. Ognie bengalskie. Trzask wypuszczanych przez «wiernych» rakiet.

Naokoło świątyni nawpół odziany tłum, jak piękne z ciemnego bronzu ulane posągi. Wszyscy po nad głowami trzymają koszyczki z kwiatami— ofiarę dla Buddy. Zaczęło się wycie. Buddysci dziwnie jakoś wyją przy modlitwie.

Cały ten tłum oczekiwał tu świtu, aby radośnie powitać «słońce nowego roku».

W oczekiwaniu modlił się głośno każdy o spełnienie życzeń własnych.

— A czy modlą się, aby Japończykom zesłanem zostało zwycięstwo?— spytałem swego tłumacza.

Spojrzał na mnie z pewnem zdziwieniem: także pytanie!

— Oczywiście.

Spytał sąsiada:

— Za kogo niesiesz w ofierze kwiaty?

I przetłumaczył mi:

— Za Japończyków!

Zagadnął drugiego:

— Także za Japończyków!

Handlujący «kwiatami świątyni» obok nas, bił w bęben nad samym uchem i coś wykrzykiwał.

— Sprzedają kwiaty dla modlitwy za Japończyków—objaśnił mi tłumacz i przetłumaczył okrzyki handlarza:

— Kwiaty! kupujcie kwiaty! Ofiarujcie Budzie, niech niebo ześle zwycięstwo Japończykom.

VIII.

Prasa kolonialna i Wojna.

Dwa są języki angielskie.

Jeden dla Japończyków, drugi dla Rosyan.

Marynarzy z «Warjaga» angielska prasa kolonialna nazywa «zbiegami».

Każdy zabity, każdy raniony w boju Japończyk to—«bohater».

— Pogrzeb zabitych bohaterów japońskich.—Spotkanie rannych bohaterów japońskich.—Po zostali przy życiu bohaterowie japońscy.—Po pożegnaniu odjeżdżającego z Petersburga generała Kuropatkina towarzyszyły «dzikie sceny».

Pożegnaniom odchodzących na wojnę żołnierzy japońskich towarzyszą «czułe i wzruszające demonstracje patryotyczne».

Są więc «dwie miary i dwie wagi».

Gdy nieboszczyk Makarow został mianowany dowodzącym eskadrą, prasa angielska w Indiach nie mogła wyjść z podziwu:

— Z czego ci Rosyanie tak się cieszą i dlaczego w tym admirale pokładają takie nadzieje?

«Admirał Makarow to uczony, wynalazca. Lecz jego zalet bojowych nikt nie zna, z tej prostej przyczyny, że nie miał sposobności ich wykazać. Jenerałowie i admirałowie, najlepsi podczas pokoju, często okazują się zupełnie niezdolnymi w czasie wojny. Tu potrzebne są zupełnie inne zalety, których admirał Makarow dotąd nie ujawnił. To taki sobie nieznany człowiek, jak każdy inny,—i niema powodu uważać go, za wybitną siłę bojową».

A gdy Makarow zginął na «Petropawłowskiu», też same gazety pisały: «Niepowetowana strata, równająca się wielu porażkom. Zginął nie tylko pierwszorzędny pancernik, nie tylko znajdujący się na nim oddział wojska, ale zginął Makarow, a z nim jego plan wojny. Wszystkie dawne straty—to drobiazg, w porównaniu z tą ostatnią. Rosya utraciła najzdolniejszego admirała, w którym, słusznie, pokładała całą nadzieję. On jeden mógł flotę rosyjską poprowadzić do zwycięstwa».

Są w tem i dwie logiki.

Gdy wskutek wybuchu pływającej miny japońskiej zginął «Petropawłowski»,—prasa angielska w Indjach i na Cejlonie zachwycała się genialnością admirała Togo.

— Co za manewr. Wywabić przeciwnika i na jego tyłach porozrzucić pływające miny!

Gazety martwiły się tylko z jednego kłopotu «Żywiółowa niezwalczona siła, prosty wypadek jedynie przeszkodził admirałowi Togo w przeprowadzeniu genialnego planu. Jeszcze pół godziny,—a eskadra port-arturska przestałaby istnieć. Wywabiwszy za pomocą krążowników eskadrę rosyjską, admirał Togo, korzystając z mgły, podążył całą siłą pary, aby ją odciąć od Portu-Artura. Lecz mgła się rozwiła. Z brzegu spostrzeżono maszty eskadry i telegrafem bez drutu zawiadomiono swoich: «Togo was okrąża». Eskadra rosyjska szybko zawróciła. Mimo to część genialnego planu została spełnioną: umiejętnie porozrzucane pływające miny dokonały dzieła».

Lecz oto pancernik japoński poszedł na dno.

«Co za barbarzyństwo, krzyknęły kolonialne gazety angielskie, temu trzeba odrazu kres położyć. Rosyanie uciekają się do pomocy min podwodnych. Na to w cywilizowanej wojnie nie

można pozwolić. To zagraża spokojnej żegludze, handlowym interesom, oraz życiu ludzi niewinnych. Czyż można przy tamtejszych silnych przyptywach i odpływach, przy potężnych prądach, straszliwych wiatrach, bezustannych burzach, przy huraganach, uciekać się do takiego barbarzyństwa,—jak puszczanie pływających min?»

Nie mamy prawa żądać od Anglików bezstronności.

Japonja jest sojuszniczką Anglii, i byłoby bardzo nie szlachetnie, gdyby Anglicy nie trzymali jej strony.

Anglicy cieszą się z każdego niepowodzenia rosyjskiego, ale przecież i my nie smuciliśmy się powodzeniem Burów.

Zemsta jest uczuciem uprawnionem. Anglję korci las rosyjskich bagnetów poza śnieżnymi szczytami Himalajów i jest to zupełnie naturalne, że usiłuje zdyskredytować Rosyję w oczach ludności Indji.

Wolno być niesprawiedliwym, ale niewolno być nielogicznym,—to wprost nie wypada dla prasy tak rozumnego, jak Anglicy, narodu.

Za jeden i ten sam fakt Anglicy dwa razy chwalał Japończyków.

Dzisiaj czytasz:

«Bohaterski czyn oficera japońskiego. Taki to a taki oficer japoński rzucił się do ataku na swoim torpedowcu. Zasypywany pociskami, nie przestawał rzucać torped, dopokąd pocisk nieprzyjacielski nie rozerwał go literalnie na strzępy». Artykuł zatytułowany jest: «oficer japoński rozszarpany na strzępy». I słowo «na strzępy» podkreślono jako główny rys męztwa nieboszczyka.

Po upływie trzech dni czytasz, że ciało tego oficera przywieziono do Japonji:

— «Pokryto je sztandarem i pogrzebano z największymi honorami w obecności niezliczonych tłumów. Sam mikado przysłał adjutanta».

Ta sympatya dla Japonii dochodzi do tego, że nietylko w depeszach Rosyanie tytułowani są zawsze jako «wrogowie», — co zresztą nic dziwnego, bo większość depez pochodzi ze źródeł japońskich, — lecz nawet artykuły od redakcyi zaczynają się od słów: «Nieprzyjaciel idzie na odsiecz Portu-Artura...» lub t. p... Tak daleko można zabrać w uniesieniu.

Wspomniany «lapsus linguae» wybornie charakteryzuje kierunek myśli angielskiej w koloniach. Mały ten błąd odsłania nietylko to, co mówią, lecz i co myślą.

Oczywiście, w myśli ci ludzie Rosyan nie nazywają inaczej, jak: «wrogami».

W każdym wydarzeniu honor i sława pozostaje po stronie Japończyków. Pierwsza depesza o zniszczeniu «Petropawłowska» brzmiała:

«Zginął, natknąwszy się na własną, na rosyjską, minę».

I gazety zachwycaly się taktyką Japończyków.

«Admirał Togo działa roztropnie, nie ryzykując i nie podejmując przeciw wrogom żadnych działań czynnych; pozostawia ich na pastwę własnego niedoświadczenia, nieprzygotowania i nieumiejętności. Jeszcze jeden pancernik rosyjski zginął od miny rosyjskiej».

Na drugi dzień nowa depesza:

«Mina od której zginął «Petropawłowsk» była japońska». I, okazuje się, że i tym razem zuch z admirała Togo.

— Jego energia, jego niezmordowana działalność, są zdumiewające.

Każdy krok Japończyków doprowadza gazety angielskie do zachwyty.

— Grzebią oni poległych Rosyan.

— Leczą rosyjskich rannych.

Jakgdyby istniało przypuszenie, że w XX wieku można postępować odwrotnie, np. grzebać rannych.

— Rys rozczulający. W radosnym pochodzie z latarniami, który urządzono w Tokio z powodu zniszczenia «Petropawłowska», niesiono także sto białych latarni w dowód żałoby po admirałe Makarowie.

Depesza:

«Taka a taka gazeta w Jokahamie wyraża ubolewanie, iż Japonja straciła tak godnego, jak admirał Makarow, przeciwnika».

Albo znów wiadomość, która obleciała wszystkie gazety Indij:

«Patryotyzm japoński. Margrabina japońska taka to a taka w Kioto, przyjmując gości, zupełnie naturalnie zauważyła:

— Na wojnę poszedł mój mąż i trzech synów, ale margrabina ta i ta ma na wojnie siedmiu synów! «Jakaż ona szczęśliwa!»! Jak ja jej zazdroszczę!

Taki jest stosunek żon japońskich do wojny i ojczyzny».

Trudno nawet posądzić tych trzeźwych i praktycznych ludzi, wydających w Indjach gize-

ty angielskie, o taką czułośćkowość i sentymentalizm.

Mniejsza zresztą o to, co piszą w gazetach. Mało to rozmaitych głupstw drukuje się we wszystkich gazetach całego świata? Od tego są gazety.

Ważniejsze jest to jak się na to zapatruje publiczność...

Ujawnia się to w listach do redakcyi.

«Listy do redakcyi»—to bardzo ważny dział w każdej angielskiej gazecie kolonialnej. Angliacy bardzo chętnie piszą «do swojej gazety». Często są to całe traktaty, bardzo ciekawe, poważne i pełne treści.

Dla Anglika «jego gazeta»—to trybuna, z której on nie tylko słucha nauk, lecz i sam przemawia.

«Listy do redakcyi»—to właściwa «opinja publiczna» kraju.

Listów z powodu wojny drukuje się mnóstwo.

Rozchodzi się pogłoska,—iż Anglia ma zamiar podjąć pośrednictwo pokojowe w celu przerwania wojny.

Do gazety sypią się listy.

— Po co? Dla czego? My protestujemy przeciwko takiemu krokowi rządu. Powinniśmy być wdzięczni Japonii za to, że odciągnęła cios,

grożący niebezpieczeństwem całej Azji. Gdyby nie ta wojna,—hordy rosyjskie, ściągane obecnie do Mandżurii, zjawilyby się w Tybecie, u bram Indij. W naszym interesie leży, by się wojna przeciągnęła. Jakikolwiek będzie jej wynik, Rosya będzie tak osłabioną, że na długo będziemy zaasekurowani od niebezpieczeństwa. Każde zaś pośrednictwo, mające na celu przerwanie wojny, będzie ze strony rządu naszego krokiem nieuzasadnionym, sprzecznym z naszymi własnymi interesami.

Przychodzi depesza:

«Rosyane chcą zaciągnąć pożyczkę w sumie 30 milionów funtów». Znów «listy do redakcyi» dzwonią na trwogę:

— POCO im 30 milionów funtów! skoro Japończycy zaciągają wszystkiego 5 milionów? Zgniółszy Japonję, użyją resztek pożyczki na dalsze rozprzestrzenianie swych posiadłości w Azji. Powodzenie tej pożyczki groziłoby nam niebezpieczeństwem.

Nasze sfery giełdowe powinny to zrozumieć i działać stosownie do tych widoków. Pieniądze takie na potrzeby wojenne w rękach Rosyi, to—oreź przeciwko nam.

Wiadomość o pożyczce szczególnie wzburzyła wszystkich.

Zdarzyło mi się gawędzić z wieloma osobami.

Wszyscy bez wyjątku podzielają tylko co przytoczone myśli.

Czy rzeczywiście panowie myślą, że Rosya nie ma żadnych, innych potrzeb, oprócz wojennych? Dlaczego sądzicie, że Rosya nie obróci tych pieniędzy na swoje potrzeby wewnętrzne?

— Nie, nie, nigdy! Rosya obróci je tylko na przygotowania wojenne w Azji.

Tak mówią Anglicy, rozumując i rządząc się uczuciem.

Boj, będący na służbie u znajomych moich w Colombo,—Syngalez, który przyjął chrześcijaństwo,—w pewną niedzielę powrócił z kościoła ze łzami w oczach i głęboko wzruszony.

— Co tobie?

— Pastor wygłosił śliczne kazanie. Takie kazanie, że wszyscy w kościele płakali.

— O czym że to?

O tem, jak Pan Bóg karze złych: mówił o samobójstwie rosyjskiego admirała Aleksiejewa.

— Dlaczegoż admirał Aleksiejew skończył samobójstwem?

Dlatego, że Pan Bóg pomógł Japończykom, i oni zdobyli Port-Artura.

Oto motywy pobożnych rozpamiętywań angielskich pastorów i namiętnych kazań kościelnych.

O nieustannych upadkach Portu-Artura, nie ma co mówić.

O pierwszej w południe sekretarz otwiera w biurze przyslaną z redakcyi kopertę z pierwszemi dziennymi depeSZami o «wielkiej wojnie»—jak ją nazywają gazety kolonialne.

— Port-Artura zdobyty!

— Znów? pytają spokojnie kanceliści z poza innych stołów.

— A ciekawego nie ma nic?

— Te zdobycia Portu-Artura,—skarżył mi się pewien znajomy,—powodują tylko nieporządek w moim kantorze. Służba, zamiast zajęcia, wymyśla sobie i bije się. Przy charakterze Syngalezów tylko patrzeć, jak sprawa dojdzie do noży.

Syngalezi, z natury namiętni gracze, utworzyli sobie z wojny rozpaczliwą grę hazardową.

Wszyscy się zakładają o to, kiedy będzie zdobyty Port-Artura?

— Stawiam rupję, że w bieżącym tygodniu.

— A ja pięć, że w przyszłym.

Spłókują się do tego stopnia, że przegrywają pensję miesięczną z góry.

Przychodzi zwykła depeza:

«Port-Artura zdobyty».

Następują porachunki.

Nazajutrz zaś odwołanie:

«Wiadomość o zdobyciu Portu-Artura była przedwczesna».

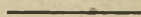
Okazuje się, że Japończycy wzniesli tylko nowy okop, bliżej do twierdzy.

Kłótnie, bijatyka:

— Oddaj pieniądze!

— Zakładaliśmy się o depezę!

Ponieważ zaś, wschodnim zwyczajem, w każdym domu, w każdym biurze, utrzymują mnóstwo żółtej służby, więc kotłowanina z powodu wojny istnieje w każdym domu.



IX.

Anglicy i Japończycy.

Zachowanie się zamieszkałych w koloniach Anglików względem Japończyków jest pełne zachwytu,—co jest dość dziwne wobec chłodnego usposobienia narodu.

Lecz oto dwa rysy charakterystyczne.

— Japonja wykazała, że jest narodem prawdziwie cywilizowanym, że jest państwem potężnem.

Pomimo to artykuły i depesze, w których wszystko to się opowiada zatytułowano słowem:

— «Japs».

«Japs» jest to lekceważąca nazwa Japończyków.

Nawet prasa angielska,— sama nie bez grzechu,— podjęła tę kwestyję, i niejednokrotnie robiła swym kolonialnym kolegom wymówki.

«Ze strony rosyjskich gazet nietaktownem jest nazywanie Japończyków «makakami». Wroga należy szanować i na wypadek zwycięstwa, (uwydatni to jego wartość) i na wypadek porażki (będzie ona dlań mniej poniżającą). Lecz ze strony gazet rosyjskich można to jeszcze usprawiedliwić. Mówią one o wrogu i wymysłaniem na niego chcą pocieszyć czytelników. Ale dlaczego nasza prasa w ten sposób się wyraża? Cobyśmy powiedzieli, gdyby nas zaczęto nazywać «jakimiś czarnymi Anglikami».

Jest-to charakterystyczny rys Anglików, że nawet chwalać Japończyków, Anglicy wyrażają się o nich pogardliwie i tak się na nich zapatrują.

W Japonii widziałem dużo Anglików. Jeśli ich spytać:

— Czy Japończycy to naród cywilizowany?

Anglik, mający do czynienia tylko z «europejskimi» przemysłowemi miastami Japonii, jak: Jokahamą, Tokio, Kobe, Nagasaki, nie znający, nie chcący znać, nie interesujący się resztą Japonii, odpowie—nie bez wahania, nie bez uśmiechu:

— T—tak!

Ale z Japończykiem w powozie, aby nie stracić szacunku społeczeństwa, na spacer nie pojedzie. Nigdy żadnego najwięcej cywilizowanego Japończyka do swego domu nie zaprosi.

Z Japończykiem pójdzie do herbaciarni, aby spojrzeć, poznać ciekawe strony życia Japonii, lecz zaproszenia na obiad do Japończyka nie przyjmie, do domu jego, w roli znajomego, nie pójdzie.

Rosyanin, Niemiec, Francuz — każdy kto chce—może śmiało wejść do pierwszego lepszego klubu kolonii angielskiej w Japonii, licząc «na gościnność dobrej, starej Anglii».

Dosyć by powiedział:

— Jestem obcokrajowcem. Nie mam znajomych w mieście.

By go Anglicy, z największą uprzejmością i tradycyjną angielską otwartością, przyjęli, zaliczając, w podobnych wypadkach do członków «honorowych» klubu.

Lecz Japończykowi, bez względu na to kim by był, nigdy nie uda się przestąpić progu angielskiego klubu.

W Jokahamie od właściciela «Grand-Hotelu» dostała mi się delikatna, ale w stanowczym tonie, wymówka za to, że przyprowadziłem ze sobą do «baru» znajomego mi Japończyka, aby napić się wody sodowej:

— Pan, jako cudzoziemiec, zapewne nie wie o tem, lecz u nas niema zwyczaju, aby Japończycy bywali w «salach publicznych» hotelu.— Tu bywają tylko dżentelmeni.

Sąsiedzi moi przy obiedzie, zachowujący się zawsze względem mnie bardzo grzecznie, z podziwem spojrzeli, gdy im powiedziałem:

— Wyjeżdżam na trzy dni w bardzo ciekawą podróż: pewien Japończyk zaprosił mnie na letnie mieszkanie w okolicy Kioto. Zobaczę japońskie życie domowe.

Jedeń z nich tylko spytał mię grzecznie, lecz bardzo chłodno i z odcieniem zdziwienia:

— I pan przyjął to zaproszenie?

Inni zamilkli i udali, że nie słyszeli niewłaściwych słów ekscentrycznego cudzoziemca. Odtąd pomiędzy nami zapanowało oziębienie. Pozostała grzeczność, lecz uprzejmość nie powróciła.

Czułem, że mi przebaczyli, lecz nie zapomnieli. Gdym powrócił, nikt mię nawet nie spytał:

— Dobrze pan spędził czas?

Jak gdyby wszyscy zawarli milczącą umowę nie wspominania nawet, o kompromitującym «dżentelmena» postępku.

Nawet na statkach japońskich, kursujących między japońskimi portami, w jadalni nakrywają dla Anglików stół osobny.

Anglik czułby się bardzo skrępowanym, obecnością «Japończyka», niejeden wolałby się nawet wyrzec obiadu.

I «potężny», i «nieporównanej waleczności», i «europejsko-cywilizowany» i jaki się żywnie podoba—Japończyk zawsze w życiu towarzyskiem będzie lekceważony. Dla Anglika Japończyk może być wysoce rozwiniętym, wykształconym,—lecz być «dżentelmenem», t. j. człowiekiem, prześlakniętym rzeczywistą europejską kulturą, być nie może. Różnica pomiędzy moim poglądem

na Japończyków, zaczerpniętym z poznania Japonii, a poglądem, przyjaciół ich Anglików, jest następująca. Według mnie, zdolny ten naród nie zdążył jeszcze przyswoić sobie prawdziwie europejskiej kultury, według Anglików nie jest on zdolny kiedykolwiek ją sobie przyswoić.

Zdaje mi się, że okrzyki: «wysoce—cywilizowany», «prawdziwie—kulturalny» naród—są przedwczesne.

Anglicy też, wykrzykując «cywilizowani», «kulturalni», zupełnie niespodziewanie dodają: «Japs'y».

A oto drugi rys charakterystyczny.

Lubię język angielski. Za jego zwiezłość, i dosadność.

Lecz nie jest to język dźwięczny.

Trzeba być Szekspirem, aby stworzyć w tym języku wyznanie miłosne. Zmęczony, zmordowany podróżą, przytem chory, późno wieczorem przybyłem z Indij do Brindizi i, dostałem się do łóżka, po okrętowym hamaku. Do łóżka, którego nie przewróci morska fala.

Jakaż to rozkosz!

Pod otwartym oknem mówiono po włosku. I sen odleciał. Przez pięć miesięcy słuchałem

tylko języka angielskiego, włoski wydał mi się muzyką. Podszedłem aby lepiej słyszeć.

Mówiło ich dwoje: młoda Włoszka, prawdopodobnie pokojówka z «albergo», i jeden z naszych pasażerów, który jąkał się, ale mówił po włosku.

O czym mogą mówić—pokojówka i gość wieczorem obok hotelu?

— *E come se dice inglese io t'amo?* filuternie spytała włoszka.

«Jak będzie po angielsku: «kocham cię»?»

— *I love you!*

I włoszka roześmiała się dźwięcznie, niby słowik, zawodzący trele w ciepłym powietrzu aksamitnej nocy południowej.

— Jak? Jak?

— Aj loe w ju!

— Cha,—cha,—cha!

I, zanosząc się od śmiechu, usiłowała wymówić:

— Cha—cha—cha! loe w—cha—cha—cha Iu... Nie mogła się nie śmiać: z racji tak pięknych rzeczy, wydawać takie dzikie dźwięki!

Dopokąd nie zaznajomiłem się z gazetami angielskimi w Indjach, podczas obecnej wojny, nie wiedziałem, że język angielski może być

tak dźwięczny, tak słodki, że można w nim tak chwalić, tak pieścić.

Co oni pisali codziennie o Togo! Zkąd dobierali epitetów!

— Genialny... Okryty sławą... Zwycięzki...

Zatonął tylko jeden pancernik, naraz gdzieś się podział «genialny», i «zwycięzki».

Jak jeden mąż, obruszyła się cała angielska prasa Indyj.

— Ma skłonność do ryzykownych działań!

— Brak mu przezorności!

— Zbrodnicza lekkomyślność.

Co się stało?

Togo utracił szóstą część japońskiej floty pancерnej!

Jedna z najpoważniejszych gazet indyjskich «Times of India» ze wzruszenia pomyliła się, rachując do «sześciu»:

— Stracił piątą część floty!

Gazety podniosły już nie krzyk, ale rzeczywisty alarm.

— Togo obowiązany był pamiętać, że Japończycy mają wszystkiego sześć pancerników, i strata jednego...

Gazety znajdowały, że rzecz jest nie do darrowania:

— Zginał tak, jak «Petropawłowsk»! Togo powinien był być szczególnie uważnym po zatonięciu «Petropawłowska».

«Togo doprowadził Japonję do olbrzymiej klęski».

I jeżeliby Togo czytał gazety angielskie, wychodzące w Indyach, znalazł by tam bardzo dużo przykrych uwag:

«Nie powinien zapominać o różnicy stanowisk. Rosya ma eskadrę bałtycką, ma, w ostatecznym razie, czarnomorską, — Rosya może wyrzucić wpływ na Turcyę i przeprowadzić swoją flotę przez cieśniny. Japonia zaś nic podobnego nie ma. Rosya straciła «Petropawłowsk», «Retwizana», «Cesarzewicza», — wówczas już «Retwizana» i «Cesarzewicza» Japończycy, zarówno jak Anglicy, uważali za ostatecznie zgubione — lecz gdyby Japończycy stracili trzy pancerniki, stracili by połowę swej floty! Sprawa Japonii byłaby skończoną! Innych pancerników nie ma, zbudować ich nie może».

Doszliśmy do głównego punktu, tłumaczącego cały pogląd na wojnę Anglików, zamieszkających w koloniach, jak również i całego Wschodu.

— Kto ma większe rezerwy?

Niepraktycznie byłoby Rosyaninowi podróżować w takich czasach po Wschodzie.

Bo i co można usłyszeć?

Każdy dobrze wychowany człowiek albo będzie milczał, albo wbrew własnym przekonaniom będzie się czuł w obowiązku z grzeczności powiedzieć coś «przyjemnego dla Rosyan».

Nazwisko podobne do polskiego czyni ze mnie zupełnie prawdopodobnego «Niemca, ze wschodnich prowincyj Prus, podróżującego po Wschodzie w interesach handlowych».

Niemcy są obecnie wszędzie, i zjawienie się niemieckiego handlowca nikomu nie wydaje się dziwnem.

Z Niemcem rozmawiają o obcym mu kraju, o Rosyi, spokojnie i nie krępując się.

Mówiłem o wojnie z setkami ludzi i przyszło mi to łatwo: na Wschodzie obecnie, oprócz wojny, o niczem nie mówią.

I zdaniem ogólnem na Wschodzie jest, że los obecnej wojny—zależy od rezerwy. Tak, każde powodzenie Japończyków ich cieszy. Lecz nikt najświetniejszemu powodzeniu nie przyznaje decydującego znaczenia.

Według ich zdania, powodzenia, klęski, męztwo wojsk, talenty wodzów,—wszystko to nie gra prawie żadnej roli.

Komu dłużej wystarczy sił, ten zgniecie przeciwnika.

A te ich spokojne, wyrozumowane horoskopy—to przecież rzecz straszna; ileż to tysięcy ludzkich istnień padnie ofiarą takiego systemu. A oto, streszczając wszystko co słyszałem, zdanie europejczyków, zamieszkałych na Wschodzie.

— Japonia jest niezwycięzona w wojnie krótkotrwałej, ale Rosya ma możność przeciągnięcia jej i Japonia jej nie przetrzyma. Za jedną armią rosyjską przyjdzie, w razie potrzeby, druga, trzecia, czwarta. Dla małej Japonii będzie to wprost siła żywiołowa. Utonie ona w tym potoku. Nie wystarczy jej ludzi, nie wystarczy pieniędzy, nie wystarczy sił na walkę z nowymi falami potoku.

Podać zaś tonącemu ręki pomocy—Anglicy nie mają ochoty, tylko zachwycają się Japończykami, i potęgowaniem ich zwycięstw chcą osłabić powagę potęgi rosyjskiej na Wschodzie, przewidując, że, koniec końców, Japonię przeciw «zgniota», — angielskie Indye, tymczasem, robią na wojnie światne interesa.

Taką masę ryżu bezustannie od początku wojny wywożą do Japonii z Indyi, że tym ostatnim grozi jeżeli nie głód, to nędma.

Japonii bowiem nigdy nie wystarczało własnego ryżu. Przewidując z powodu wojny brak rąk roboczych, od samego początku wojny bardzo zapobiegliwie zaczęła sprowadzać zdwojone zapasy ryżu z Indyi. Ceny podskoczyły. Kupcy indyjscy zacierają ręce, a ludność zaczyna stękać: przecież oni oprócz ryżu nic nie jedzą.

A kupcy korzystają z chwili i póki wyjście z zatoki Bengalskiej, cieśnina Malakki, oraz Żółte morze są wolne, statek za statkiem nieprzerwanym sznurem ślą z Indyi do Japonii.

A my możemy chwycić kontrabandę tylko na północy i zachodzie Japonii. Gdyby tak w cieśninie między wyspami, u wyjścia z oceanu Indyjskiego na Wschód, była choćby lotna eskadra krążownicza!

Tu dopiero miejsce polowania na najważniejszą kontrabandę wojenną. Tu możność, nawet bez rozlewu krwi, zbliżenia końca wojny.

I Japończycy spieszą się, aby porobić zapasy żywności, dopokąd nie nadejdzie straszne widmo: eskadra bałtycka.

I bardzo wiele zdążyli już zrobić w sprawie przygotowania dla kraju zapasów żywności.

X.

Indye i Rosya.

Czy istnieje japońska agitacya w Indyach?

O tem strasznem niebezpieczeństwie dowiedziałem się na Cejlonie... z gazet rosyjskich.

W Colombo jest mała kolonia rosyjska, składająca się z siedemnastu osób, trudniących się handlem herbata.

Oni to dostarczali mi gazet rosyjskich.

W gazetach tych czytamy:

— Niezliczeni agitatorowie japońscy, zalewający Indye..., a dalej: podburzanie Indusów do ogólnego powstania «żółtej» Azji, pod wodzą «zwycięskiej» Japonii przeciwko białym..., a dalej znów: Anglicy uznają już niebezpieczeństwo... Odjeżdżając z Colombo do Tutikorinu, na południe Indyi, ma się rozumieć, postanowi-

łem przedewszystkiem zająć się usilnie tą ciekawą kwestyą. Myślałem sobie:

— Jakto? Takie niebezpieczeństwo grozi Anglikom, a oni z całych sił rozdmuchują zwycięstwa «japsów» i wychwalają Japonię, jej męstwo, jej potęgę. Dopomagają agitatorom. To dziwne. Anglicy słynęli zawsze z wielkiej oryginalności, nie byli jednak nigdy głupimi!

Znam Madurę, Trisynopol, Tandżorę, Madras, Herdarabad, Bezwad, Kalkutę, Benares, Agrę, Del, Dżejupur, Bombay. Jest to południe, północ, środek, wschód i zachód Indyi.

Dla wycieczki swej wybrałem najuciążliwszy czas: wszystko powysychało wskutek nieznośnego upału, robót w polu nie ma, i ludność korzysta ze swobodnego czasu, aby użyć nabożeństwa i pielgrzymek.

W świętych miastach Indyi, — Benaresie, Madurze, Trisynopoli widziałem najróżnorodniejszych przedstawicieli plemion induskich. Pielgrzymów z całych Indyi, nie wyłączając najwięcej zapadłych i niedostępnych ich zakątków.

Cały czas spędzałem pośród Indusów. Miałem możność wejrzeć dosyć głęboko w ich życie, — służący mój i tłumacz, Indus «treweling — boj» z zawodu, człowiek, który całe Indye prze-

jechał wzdłuż i w poprzek, władający, oprócz języka angielskiego i «hindustani», którym porozumiewają się całe Indye, i jeszcze dziesięcioma główniejszymi narzeczami Indostanu, wszędzie wraz ze mną szukał Japończyków.

Sumiennie, pilnie.

I dopiero w Kalkucie Indus mój zjawił się, z miną tryumfującą:

— Master, są Japończycy.

Z mego polecenia, był on w części miasta, zamieszkałej przez krajowców i, korzystając z mnóstwa znajomości, rozpytywał się wszędzie o Japończyków. Ale nieborak dodał zafrasowany:

— Tylko, master, to nie są Japończycy, lecz Japonki.

Okazało się, że Japonek jest tam bardzo dużo. Tylko zajmują się one... nie agitacją polityczną... Zupełnie czem innym!

Anglicy, którym mówiłem o agitacji japońskiej w Indyach, patrzyli na mnie, wytrzeszczając oczy.

— Zkąd pan to wziął?!

A byli pomiędzy nimi i ludzie, zajmujący urzędowe stanowiska, i ludzie pracy, mający z Indusami codziennie interesa. Byli ludzie, za-

mieszkali w Indjach od lat 20, a więc znający już kraj.

O «niebezpieczeństwie dla Indyi», w Indjach nikt nie wiedział.

Wyśledzenie w Indjach japońskich agitatorów nie tylko dla władz angielskich, lecz i dla mnie, zwykłego podróżnika, nie przedstawiałoby żadnej trudności.

W Indjach trudno się ukryć Japończykowi.

Przebrać się za Indusów, jak przebierają się oni za Chińczyków, niepodobna. Jest to zupełnie inny typ. Indus pozna od pierwszego spojrzenia, i powie:

— To Bengaleczyk... To Malabarczyk... To tamil z Madrasu... Ten z Radżaputanu... Ten marat... Ale Indus, cytrynowo-żółty, ze spłaszczonym nosem, z małymi oczkami,—no za takim Indusem chodziłyby tłumy.

Obcokrajowcowi niepodobna ukryć się ani w indyjskiem mieście, ani w indyjskiej wsi.

Indus, to—nasz starowiec.

Jakoś latem wypadło mi przejeżdżać przez wieś starowierców. Zwróciłem się do stojącej obok chaty młodej kobiety:

— Kochanko, dajno napić się wody.

Baba śpiewnie i dobrodusznie odrzekła:

-- Kochanie! Nie mam strefionego naczynia. Lecz zlitowała się. Przyniosła kubek:

-- Na masz już, niech tam. Niech się strefi!

Najnieszczęśliwszy z Indusów nie przyjąłby zaproszenia, gdyby wice-król Indyj zaprosił go na obiad.

Onby się strefił, straciłby kastę, stałby się paryasem.

Każdy obcokrajowiec jest dla niego człowiekiem po za kastą.

Może on dać mu pić tylko nalewając ze dzbana w podstawione dłonie.

Może dać jeść na palmowym liściu, lecz poza progiem swego domu.

Nie może go przyjąć na nocleg.

Obcokrajowiec może znaleźć dla siebie schronienie tylko pośród paryasów.

Przy takich warunkach agitatorowi-obcokrajowcowi ukryć się trudno.

Nikt w Indjach nie przedsięwzięje przeciwko japońskiej agitacji żadnych środków, albowiem żadnej w tym rodzaju agitacji w Indjach nie ma.

Ta bajka to—dym bez ognia.

Przeciwnie, Anglicy w Indjach, we wszelki sposób, podnoszą potęgę Japonii, ponieważ to

podkopuje w Indusach pewność w straszną siłę Rosyi.

Gazety angielskie w Indjach bezustannie komunikują «radosne wiadomości»:

— W Deli, w Agrze muzulmanie urządzają nabożeństwa o uproszenie Japończykom zwycięstwa.

— Z Kalkuty piszą, że miejscowi bramini składają ofiary, modląc się o zwycięstwo Japończyków nad rosyjskimi wojskami.

Że Indusi muzulmanie modlą się o zwycięstwo dla Japończyków—nie ma w tem nic dziwnego.

62¹/₂ milionów muzulmanów w Indjach uznają swoich radzów. Uznają też, choć niezbyt chętnie, władze angielskie.

Lecz istotny władca, dla muzulman Indyi—to sułtan turecki. Dla nich jest on kalifem, namiestnikiem proroka, najwyższą głową całego świata muzulmańskiego.

W dziedzinie sztuki muzulmanie Indyi są daleko wolnomyslniejsi, od innych mahometan. Koran zabrania przedstawiania ludzi: w posągach, obrazach,—mimo to w Indjach muzulmanie uznają portrety.

I najwięcej rozpowszechniony w muzulmańskich częściach Indyi obrazek jest to por-

tret sułtana tureckiego. Można go zobaczyć prawie w każdym domu muzułmańskim. Częściej, niżeli portret króla Anglii i cesarza Indyi.

Portrety sułtana sprzedają na wszystkich rynkach.

I rząd turecki, ma się rozumieć, doskonale wie o tem wszystkim i korzysta z okoliczności.

Związek pomiędzy Turcyą a Indyami muzułmańskimi nie przerywa się nigdy. Turcyja pomiędzy muzułmańską ludnością Indyi ma mnóstwo emisaryuszów; gdyby kalif podniósł zieloną chorągiew proroka, — chorągiew wojny świętej wszystkich muzułmanów całego świata przeciw wszystkim niewiernym, — groziłyby Anglii straszne rozruchy, olbrzymi rozlew krwi, a może nawet i utrata Indyi.

Turcyja trzyma w swych rękach mahometan Indyi.

Dlatego to może Anglia «sprzyja» Turcyi. I, podburzając skrycie wszystkich zbuntowanych poddanych tureckich, otwarcie nigdy przeciwko Turcyi nie występuje.

Podczas wojny grecko-tureckiej wiadomości z teatru działań wojennych były czytane przez muzułman z takim zajęciem, jakgdyby oni sami wojowali.

— O niczem innem nie myślano, nie mówiono.

Ludność muzułmańska podawała wice-królowi opatrzone tysiącami podpisów petycye, dla wręczenia centralnemu rządowi angielskiemu.

— Żądania ludności muzułmańskiej!

Mahometanie Indyi prosili i żywili nadzieję, że Anglia «i w grecko-tureckiej wojnie będzie się kierowała swą zwykłą polityką, okaże Turcyi swą potężną pomoc i, w żadnym razie, nie stanie po stronie jej wrogów».

Dla muzułmanów Indyi—Rosya to odwieczny wróg Turcyi, «wróg islamu». I rzeczą jest zupełnie naturalną, że ludność muzułmańska Indyi modli się o pogrom Rosyi.

Zupełnie naturalnem jest ze względów czysto religijnych, że bramini Indusi,—a jest ich 208 milionów,—sympatyzują również z Japonią.

Wyznawca Buddy jest mu daleko bliższy od chrześcijanina.

Podług ich wierzeń, Budda jest to jedno z wcieleń wiecznie wcielającego się boga Wisznu.

W świątyniach Wisznu można znaleźć posągi Buddy, czczone narówni z posągami Kriśzny i Ramy,—przedstawiających inne wcielenia Wisznu.

W starych świątyniach buddyjskich składają oni cześć posągom Buddy, czcząc w nim wcielenie boga Wisznu.

Lecz we «wszystkich wiadomościach» o ofiarach, składanych za Japończyków, jest jeden rys charakterystyczny. Wszystkie one zaczynają się od słów:

— Z Kalkuty piszą, że tam...

Bengalczycy są zaliczani do najbardziej pogardzanych w Indjach narodów, mają oni opinię tchórzów, zdrajców, «ludzi nizko urodzonych». Ostatni żebrak w Benaresie patrzy z pogardą na bramina z Kalkuty, uznając siebie za wyżej urodzonego od Bengalczyka.

Najwięcej pogardzany paryas z Radżaputany nie zejdzie z drogi przy spotkaniu z bengalskim braminem.

Są zdania, że najlepszy sposób okazania lojalności względem Anglii, to okazywanie sympatii Japończykom. I niema w tem nic dziwnego, że bengalscy bramini starają przypodobać się i zaświadczyć swoją szczególną przychylność dla Anglii:

— My modlimy się nawet za Japończyków.

Wogóle zaś Indus, gdyby nawet chciał modlić się o zesłanie Japończykom zwycięstwa, znalazłby się w wielkim kłopotcie.

Do kogo się ma modlić? Do Bramy. Lecz do niego w ogóle modlić się nie można. Stworzywszy świat, pozostaje on w wiecznym błogim spokoju, nie znając ani radości, ani gniewu. W całych Indyach, pomiędzy milionami świątyń indyjskich, jest gdzieś tylko jedna poświęcona bogu Bramie. Nie potrzebuje on nic. Nie potrzebuje i modłów. Nie słucha ich w swym boskim spokoju.

Bóg Wisznu. Zadaniem jego jest, przez ustawiczne wcielanie się, zabezpieczać i ulepszać wszystko to co istnieje. On to wybawia wszelkie stworzenie od niebezpieczeństw, on daje przykład, jak żyć należy. Nie zna on wojny, albowiem nie wie, co to jest śmierć.

— Niema zabójców i niema zabitych,—powiada Wisznu,—albowiem duszy zabić nie można.

Bóg Siwa! Straszliwy bóg zniszczenia i radosny bóg odrodzenia. Lecz do niego jest jedna tylko modlitwa.

Potrzeba załamać ręce nad głową, niby broniąc się od spadającego straszliwego ciosu, i powtarzać:

— Siwa i annama!

To jest «Siwa, ocal nas»!

Kobiety składają hołd przed cynicznym, bezwstydnym symbolem tego boga, wieńczą go kwiatami, prosząc o zesłanie potomstwa. Więcej żadnych modlitw do boga Siwy nie ma.

Jest na induskim olimpie drugorzędne bóstwo—syn boga Siwy, Subrumeni, którego od biedy można nazwać bogiem wojny.

Jest on władcą dobrych duchów i walczy z nimi przeciwko złym. Lecz on niema nawet swych świątyń.

Dziesięciogłowe wyobrażenie jego, błogosławiące dwudziestoma rękami, mieści się w świątyniach boga Siwy.

Przed posągiem boga Subrumeni nigdzie w całych Indyach nie widziałem kwiatów.

Na zapytanie zaś:

— Czy składają mu ofiary?

Odpowiadano wszędzie:

— Nie.

— A o zesłanie zwycięstwa Japończykom?

Pytanie to wzbudzało tylko zdziwienie.

Sympatyje Indusów względem Japończyków nie sięgają tak daleko, jak sympatyje Syngalezów na Cejlonie.

Indye obojętne względem wszystkiego, co nie dotyczy religii i kast, obojętne są i względem wojny, tak jak 200 milionów ich było obojętnych nawet wobec powstania sipajów.

Oni sympatyzują z Japonią—zapewne. Przewszystkiem jednak dlatego, że się boją Rosyi:

— Rosya przyjdzie i zburzy nasze świątynie, nas zaś wszystkich zmusi do przyjęcia chrześcijaństwa. Przy Anglikach zaś każdy spokojnie wyznaje tę religię, jaką chce.

Od północy do południa wszędzie słyszy się tę jedną odpowiedź.

Oni sympatyzują z Japonią, jak myśmy sympatyzowali z Burami.

— Taki maleńki naród i tak mężnie walczy z takim ogromnem państwem!

Oni, zarówno jak i ludzie Zachodu, widzący w wojnie Japonii z Rosyą walkę Dawida z Goliatem, zupełnie zapominają, że przecież Japończyków nie można porównać z Burami.

Co może być wspólnego pomiędzy Burami z ich jedynym «wielkim Tomem», a Japończykami, którzy «nie żałują pocisków» dla swej olbrzymiej artyleryi?

Co wspólnego pomiędzy garstką ludzi i krajem o pięćdziesięciu milionach ludności?

To sentymentalne określenie «małeńka» bardzo pomaga Japonii w opinii publicznej, oraz sympatyach Zachodu i Wschodu.

Jakkolwiek jednak Wschód rozczuła się nad «tą małą», to wszakże w tem rozczuleniu nie zachodzi za daleko.

Rozmawiałem z setkami Indusów i na zadawane pytanie:

Któż koniec końców zwycięży?

Słyszałem od wszystkich tę samą odpowiedź, co i w Turcyi, co i w Egipcie:

— Rosya ot tyła, przyczem dla ilustracyi pokazywano dziesięć palców. Japonia ot tycia i pokazywano mały palec.

— Rosya zgniecie Japonię.

Pod tym względem Wschód niema żadnej wątpliwości.

XI.

Australia i Wojna.

Z obecnej wojny najwięcej ze wszystkich skorzystała—Australia.

Przedewszystkiem pozwolę sobie powiedzieć słów parę o tych ludziach dalekich, których u nas znają bardzo mało.

W Colombo, w klubie, którego członkami są mężczyźni i kobiety,—żona jednego z przemysłowców, z pochodzenia Australka i dla tego śliczna osoba, rozmawiała z przyjezdnym obcokrajowcem.

Rozpytywał ją:

— Ojciec szanownej pani urodził się w Australii, a dziadek pani?

Australka roześmiała się głośno i dźwięcznie:

— Niech pan nigdy nie pyta Australczyka o jego przodków. Zawsze w końcu znajdzie się tam jakiś galernik!

Towarzystwo angielskie, w którym toczyła się ta rozmowa, było okropnie zgorszone.

— Żona takiego poważnego przemysłowca, i przyznaje się do takiego pokrewieństwa!

— Tak bezceremonialnemi mogą być tylko Australki.

Nie tak nie gorszy ludzi jak prawda.

W każdym Australczyku płynie choć kropla krwi angielskiego galernika. Są to potomkowie angielskich «Sachalińczyków». Australia była bowiem niegdyś angielskim Sachalinem.

Tem, być może, tłumaczy się wiele w ich historii.

Dziedziczność musiała wpływ swój wywrzeć.

Australczycy są rubaszni, weseli, prości, lubiący życie, prostoduszni i zupełnie pozbawieni angielskiej powściągliwości.

Z Australczykami dużo się spotykałem na Wschodzie, a w końcu znalazłem się w ich towarzystwie. Wracając na olbrzymim parowcu australskim «Marmora», do swoich obserwacji miałem czterystu podróżnych I klasy. Bogaty materyał.

Byli tu deputaci parlamentu australskiego, adwokaci, doktorzy, inżynierzy, bogaci właściciele ziemscy, właściciele kopalni złota, milionerzy, handlarze wełny.

Gdy statek zawijał do portu, wszystko to, na złamanie karku, rzucało się do czytania depesz, wywieszanych na schodach obok jadalni.

— Co nowego o wojnie?

Wszyscy oni mówią tylko o wojnie.

Pyszne pole dla «przemysłowca z wschodnich prowincyi Prus», aby usłyszeć otwarte zdanie Australczyków o Rosyi.

Australczycy u siebie żyją wesoło. Potrafią dobrze wypić i namiętnie oddają się sportowi.

— W chwili, kiedy rozgrywa się wielka partya krokieta, golf lub foot-ball jestto najważniejsze zdarzenie, ważniejsze niż wybory do parlamentu.

Wtedy poza krokietem, golfem lub foot-ballem nie nie istnieje.

Australczycy chętnie «walczą pokojowo» w każdym «mówiącym po angielsku» zakątku kuli ziemskiej.

Rozgrywają oni bezustannie partye w krokieta—«Australia-Anglia», lub w golfa—«Australia-południowa—Afryka», albo w tennisa—«Australia-Ameryka», «Australia-Indye».

I gazety australskie, za szaloną cenę, otrzymują całe szpalty depesz, «podwodnym telegrafem z teatru działań wojennych».

— Światowe zwycięstwo Australii w krokieta!

— Zadano nam klęskę w Polo!

Wszystkie gazety australskie mają charakter organów sportowych. Trzy czwarte gazet poświęca się zabawom, czwarta część pozostałym kwestyom. Australczycy uchodzą za sławnych sportsmenów nawet wśród Anglików.

Jeżdżą oni towarzystwami po stu ludzi na południe Afryki, do Chicago, do Szanhaju, Londynu, Kalkuty, po to, by grać w piłkę.

To życie bez troski zatruwa tylko jedna okoliczność:

— Brak kobiet!

W Australii trudno się ożenić. Kobieta w Australii robi świetną karierę. Londyńskie biura stręczenia małżeństw pomagają w nieszczęściu Australczykom.

Ajenci ich przyjmują «obstalunki» Australczyków, łaknących kapłanek domowego ogniska, biura wysyłają całe statki narzeczonych.

Kilka lat temu spotkałem w Porcie-Saida taki tchnący życiem statek.

Wszystkie pokłady były niby udekorowane kwiatami: kapelusze, stroje!...

Oprócz załogi, same kobiety.

Spotykając parowce, powiewały one chustkami, statek rozbrzmiewał śmiechem i powietrze drżało od kobiecego pisku:

— Hip, hip, hura!

Był to statek, cały zamówiony przez biuro stręczeń małżeńskich dla narzeczonych w Australii.

Jeżeli spytać człowieka, który był w Australii, co to za naród Australczycy, odpowie on przedewszystkiem:

— Bogaty!

Australczycy spełnili potworne przestępstwo. Wymordowali oni cały naród.

Teraźniejszy zamożny Australczyk widział jeśli nie wszystko, to bardzo wiele. Galerye obrazów w Europie, zakłady przemysłowe i fabryki w Ameryce, «Grand-Prix» w Paryżu, wodospad Niagary, piramidy egipskie, olbrzymi posąg Buddy w japońskiej Kamakurze.

Nie widział on tylko jednego: mieszkając w Australii nie widział Australczyka-tubylca.

Podczas spisu ludności w Sidneju, znaleziono gdzieś w jakimś zaułku całej parady... dziesięciu tubylców.

W Melburnie nie znaleziono nawet tyłu. W walce z ludnością miejscową Australczycy-Anglicy nie uciekali się do zwykłych sposobów cywilizowanego świata: nie zatrawali tubylców alkoholem, nie czekali na ich wymarcie wskutek zawleczonego przez europejczyków syfilisu.

Potomkowie przestępców jęli się prostszego i skuteczniejszego sposobu.

Oni ich poprostu «uśmiercali»,—jak wyrażał się na statku pewien przestępca, który zabił matkę i siostry.

Tubylców tępili za pomocą «ekspedycyi egzekucyjnych».

Jeżeli któremu z farmerów angielskich przepadł baran,—cała okoliczna ludność tubylcza so-

lidarnie była uznawana, jako winna rabunku i napadu na białych, szli oni i «tłumili rokosz»: wytępiali wszystkich.

Uprawiano wprost polowania na czarnych.

— Ze szczególną usilnością tępiono samców! — pisze pewien Anglik naoczny świadek, zgorzszony tem, co zdała od cywilizacji działo się tu w jej imieniu.

W Australii można było robić co się komu podobało. Kto tam dowiadywać się będzie co się dzieje w Australii.

Złośliwa wersja dodaje, że «w sporcie na czarnych» przyjmowały także czynny udział białe damy. Ale wybierały sobie odpowiednią do sił zwierzyne: strzelały jedynie do kobiet i dzieci!

W rezultacie—tubyłcy zostali wytępieni, ocalała zaś garstkę zapędzono w niedostępne wertepy. Tym sposobem australski robotnik został uwolniony od konkurencji taniego czarnego robotnika. Obecnie Australia już tylko zbiera owoce z popełnionych kiedyś zbrodni.

Ceny rąk do pracy w Australii są olbrzymie. Zarobki duże, większe nawet, niż w Ameryce!— czem szczycą się Australczycy. Przy taniości zaś życia, bo Australia to kraj mięsa, zboża i masła,—wszyscy robią oszczędności.

Australczycy to naród bogaty. O pomyślność swą umieją oni dbać i strzedz jej.

— Australia dla białych!—oto ich dewiza; chińskich robotników do siebie nie puszczają.

— Obniżyliby ceny!

Niechętnie nawet przyjmują europejczyków: żądają, by każdy z emigrantów przedstawił w gotówce dość znaczną, prawie niemożliwą dla emigranta sumę.

— My żądamy gwarancyi, że jest człowiekiem zamożnym i z głodu, za byle co, pracować nie będzie! Nam głodnych nie potrzeba. Oniby i nas do głodu doprowadzili, ceny zarobków by spadły!

Trudności stawiane emigrantom w Ameryce są niczem w porównaniu z temi, które spotykają ich w Australii.

Japończyków, narówni z Chińczykami, Australczycy do siebie nie puszczają zupełnie.

— Kupców? A to po co? My sami chcemy ciągnąć zyski. Robotników? Nam ich nie potrzeba, co nam po konkurencyi biedaków, zadowalniających się garstką ryżu.

Współczują oni obecnie Japończykom i wychwalają ich w gazetach,—ale puścić do siebie?!

Wszystkie starania tokijskiego rządu w celu uzyskania dla Japończyków prawa osiedlania się w Australii rozbiły się o stanowczy opór Australczyków. Ich argument to:

— Australia powinna być białą!

— Jest to — miłość platoniczna. Skoro na samym początku wojny, australscy lekarze i ochotnicy ofiarowali swe usługi Japończykom, — ci z niewiadomych przyczyn ich nie przyjęli.

— Gniewają się, żeśmy ich nie puścili do siebie! — żartowali Australczycy, i w ten sposób mszczą się na nas.

Australia stoi na dwóch, zasadniczych podstawach:

— Australia dla białych i Australia jako własność państwowa.

Wszystkie pożyteczne instytucje powinny należeć do rządu: tanie rządowe koleje żelazne, tanie rządowe domy dla robotników i t. d.

Australia — to kraj szczęśliwy. Nie zna on prawie, co to są wydatki wojenne. Płaci pewną, niewielką stosunkowo, sumę Anglii za to, że jej flota broni kraju, to już wszystko. Australia trzyma się «zdala od świata»: sama ona niechce nic zagarnąć, ale też jej nikt nie grozi.

Zdobywszy pomysłność za cenę zbrodni, chce ona w całej pełni z tej pomysłności korzystać.

Brak wydatków wojennych uwalnia Australię od uciążliwych podatków, pozostające zaś swobodne kapitały obracane są na urządzenie komunikacyi, rozwinięcie szkolnictwa, ulepszenie ogólnego porządku w miastach i w całym kraju.

I oto, z dziesięć lat temu, nad tą pomysłnością zawisła straszliwa chmura.

— Chmura ta—to Japonia.

Japonia dusi się, jest jej za ciasno. Ona potrzebuje jakiegoś wyjścia i zaczyna się rzucać.

Pierwszy skok zrobiła ku Chinom.

Japonia przyczaiła się i jak tygrys skoczyła na Chiny. Chińska krew się polała z pod pazurów tygrysa.

Japonia chciała się wpić w ląd stały, ale tu wmieszała się Rosya—i Japonia ześlizgnęła się.

Nie udało jej się utrzymać na lądzie.

Drugim jej rzutem był skok na wyspy Sandwicz.

— Wyspy te powinny do nas należeć — orzekła Japonia w 1897 roku.

Skok był śmiały,—lecz tygrys natknął się na żelazo. I zmuszony był odskoczyć.

Ku wyspom Sandwicz podeszła zdala, z fal oceanu wyrosła nagle, eskadra amerykańska. Za nią zaś stała Ameryka, potężna, bogata, straszliwie bogata.

— W razie wojny zniszczymy cały handel na oceanie Wielkim. Pomrzecie z głodu.

Tygrys musiał się znów przyzaić na swym małym skrawku ziemi i, wygiąwszy grzbiet, przygotowany do skoku, rozglądał się:

— Gdzieby tu teraz skoczyć?

Gdyby Japonia nie była się rzuciła na Rosję, skoczyłaby ona na nas!—Takie jest przekonanie Australczyków, ich społeczeństwa, działaczy politycznych, prasy i narodu.

— Puście mnie, mruknęła łagodnie. Będę spokojnie wysyłała do was swe dzieci.

— Lecz Australia odrzekła:

— Nie, Australia dla białych!

Po nieudanej akcji pokojowej, można było oczekiwać wojennej. I wciągu lat dziesięciu, od chwili, gdy Japonia zaczęła dusić się w ciasnocie i rzucać się,—zawisła nad Australią czarna chmura. Stawała się ona coraz czarniejszą i czarniejszą.

Australczycy oczekiwali, że cios w nich będzie wymierzony.

Przebogaty, lecz w kierunku wojennym bezbronny, kraj stanął w obec kraju wojowniczego i pragnącego wojennych zdobyczy.

— Jakto bezbronny? A Anglia?

— Wiadomo powszechnie, że Australia należy do Anglii czysto nominalnie. Australia jest państwem zupełnie samodzielnem i Anglia od dawien dawna przestała ją uważać za swoją posiadłość. Aż do samej wojny burskiej Anglia uważała nawet Australię, za ciężar. Anglia nie lubi «kolonii», które nic jej nie przynoszą. Dopiero wtedy, gdy Australczycy pomogli Anglii w walce z Burami, ujrzała ona, że i Australia może jej być potrzebną. Przed wojną z Burami Anglia nie kiwnęłaby palcem na tego, komuby przyszło na myśl wziąć sobie Australię:

— «To ich rzecz, są samodzielni, niech się bronią sami, jak umieją». Czyż pan sądzi, że Anglia chciałaby rujnować się dla obrony cudzego, faktycznie nie należącego do niej kraju?

— Ale skoro Anglia przekonała się, że więzy, łączące ją z Australią są jej potrzebne...

— Zapewne Anglia ujęłaby się za Australią. Lecz ktoby poniósł wydatki dla obrony kraju?

Australia. Czyż to nie wszystko jedno: utrzymać swoje wojsko i flotę, lub też płacić za wynajęcie cudzego?

Chmura japońska zawisła nad Australią, a ona z trwogą czekała.

— Lada chwila rozszaleje huragan, który zmiecie całą naszą, tak drogo kupioną, pomyślność! Australczycy mogliby dodać: «Kupiona za tak straszną cenę», lecz nie przychodziło im to nawet na myśl. Mówili z trwogą:

— Zaczną się wydatki wojenne!

I wówczas żegnajcie małe podatki, oświato, dobrobycie, żegnajcie wszelkie ogólnoludzkie instytucje, uznane za społeczną własność.

I nagle oczekiwany z trwogą przez Australię cios padł na Rosyę.

— Dopiero 27 Stycznia 1904 r., Australia po raz pierwszy odetchnęła swobodnie.

Po nad jej głową, nie zadrasnawszy jej, przemknęło groźne widmo militarystyki. Pomyślność jej została uratowana.

«Przemysłowcowi ze wschodnich prowincji Prus», za którego mnie brali Australczycy, mówiono szczerze i głośno:

— Wojna ta dla nas—to los na loteryi bez obawy przegranej. Jeżeli zwycięży Japonia,—

to znajdzie ona dla siebie ujście na lądzie, a my pozostaniemy zabezpieczeni od napaści i najścia. Jeżeli zwycięży Rosya,—Japonia będzie tak osłabiona i wyczerpana, że na długo, długo, możemy być spokojni.

Nadto trzeba mieć jeszcze na uwadze materialne zyski, które Australia ciągnie z wojny.

Dostarcza ona dla Japonii żywności i koni.

Australia dostarcza koni na cały Wschód. Australskie konie biegają tam wszędzie na wyścigach, na australskich koniach jeździ kawalerja w Indyach, australskimi końmi, narówni z arabskimi, przepełnione są olbrzymie stadnie radzów, na australskich koniach jeżdżą «dzen-telmeni» w «dog-carach» w Indyach i Chinach, na australskich koniach wożą ciężary.

Australski koń jest krótszy od angielskiego, lecz mocny, żywy i wytrzymały.

O koniach tych specjaliści, sportsmeni i wojskowi odzywali się z największymi pochwałami.

Ceny na konie australskie obecnie bardzo się podniosły, wskutek wywozu ich do Japonii.

I dopokąd eskadra nasza, lub krążowniki nie przetną drogi pomiędzy Australią i Japonią,—ta ostatnia będzie wybornie zaopatrywaną w konie zarówno dla kawaleryi, jak dla artyleryi.

Wszystkie sympaty Australczyków są po stronie Japonii.

— Zapewne,—rozumują poważnie Australczycy,—byłoby dla nas korzystniej, gdyby zwycięstwo zostało po stronie Japonii. Zwycięzą ją, osłabia—ona odpocznie, i chociażby po wielu latach, ale niebezpieczeństwo grozić nam będzie. Jeśli zaś znajdzie ujście dla siebie na lądzie w Mandzuryi—będziemy zupełnie spokojni. Nie będzie ona zupełnie potrzebowała Australii.

Australska prasa z całych sił podtrzymuje «nadzieje narodowe».

Nigdzie nie piszą tyle o zwycięztwach Japończyków, i nigdzie te zwycięstwa nie wydają się tak stanowcze i świetne.

Poczytawszy w ciągu trzech dni gazety australskie,—a na całym Wschodzie otrzymują ich wszędzie bardzo dużo,—można przyjść do przekonania, że wojna, w rzeczywistości, jest już skończona.

W Rosyi wszystko rozbite i stracone.

Lecz czytelnik angielski—to najrozumniejszy w świecie czytelnik. Rozumie on świetnie, w jakim stopniu można wierzyć wiadomościom «jego gazety».

— Jedna piąta, na przykład, tej oto wiadomości jest prawdą, a więc skoro napisano: Rosyanie stracili 500 ludzi,—to znaczy, stu. Gazety powinny pisać, pięćset, bo to daleko ciekawsze.

W tej znów wiadomości jest szósta część prawdy.

Australczycy znają swoją prasę:

— Ich rzeczą jest «make very great boom», «Czynić wielki chałas».

— Jak prasa amerykańska?

— O daleko większy.—Myśmy naród weselszy i żwawszy—potrzebujemy więcej «boom'u», niż Amerykanie.

I Australczycy nie tak radośnie, jak ich gazety, zapatrują się na «blizką klęskę Rosyan».

— A jednak, zapewne, zwycięży Rosya.

— Dlaczegoż?

— Japończycy są biedni.

I twarz Australczyka przybiera wyraz pogardy.

Czyż z takimi środkami można zaczynać wojnę! Cóż to za pożyczka? pięć milionów funtów—Także pożyczka!

Dźwięczy w tem pogarda ludzi bogatych—przedewszystkiem «bogatych», dla jakichś tam groszowych kombinacji.

— Pożyczka wysokości 5 milionów funtów!
Wzruszają na to pogardliwie ramionami:
— Ile to kosztowała Anglię wojna z Burami?
Z jakimiś tam Burami!

Ludzie, zaciągający takie «groszowe» pożyczki na tak wielką sprawę, są przedewszystkiem, podług zdania bogatego australskiego narodu, zamało solidni. Nie przedstawiają oni rękojmi w tak poważnej sprawie.

I bez względu na gorące życzenie, by zwyciężyła Japonia, Australczycy w zwycięstwo to nie wierzą i pocieszają się myślą:

— Nie zwycięży, to będzie zwyciężona. W każdym razie osłabnie,—i my na tem skorzystamy.

Jak daleko sięgają sympatyje Australczyków względem Japonii?

— Jak można najdalej! Ludzie gotowi oddać życie za Japonię. Wasi lekarze, wasi ochotnicy...

Australczyk przerywa panu:

— Proszę nie zapominać: ofiarowali swe usługi ci lekarze i ochotnicy, którzy przyjmowali udział w wojnie przeciw Burom.

— Więc cóż z tego?

A! To bardzo ważne. To taki sport.

— Jaki sport?

Wszędzie są ludzie, którym podoba się życie spokojne, i ludzie, którym podobają się przygody, niebezpieczeństwa, walka. Przejechali się oni do Transwaalu i bardzo im się tam podobało, chcą więc znów jechać na wojnę, dla sportu. To bardzo jasne.

— Pan uważa, że to nie jest objaw ogólnego usposobienia Australii?

— Co? Iść na wojnę ma być usposobieniem Australii? Australczyk gardzi sprawami wojennymi. My kochamy nasze powodzenie i lubujemy się niem. Lecz myśmy wszyscy sportsmeni. Nam podoba się golf, krokiet, polo, wyścigi— im zaś wojna. Każdy oddaje się swemu ulubionemu sportowi.

Takie są poglądy i usposobienie tego dalekiego kraju.

XII.

Ł o g i k a Ń z y i.

«Od Bosforu do brzegów oceanu Spokojnego i od bieguna Północnego do gór Himmalajskich powaga siły rosyjskiej upadła!» Oto co,

powracając do Europy, przeczytałem w jednej z gazet angielskich.

W naszych zaś gazetach spotykałem westchnienia:

— Musimy odnieść wielkie świetne zwycięstwo, co wówczas powiedzą na azyatyckich rynkach?!

Albo radości pełne uwagi z powodu każdego zatopionego statku japońskiego:

— Dopiero to mówić o tem będą w azyatyckich kawiarniach?!

Sądzę, że wódz, któryby się interesował, tem, co o nim powiedzą w kawiarniach, byłby dziwnym wodzem!

I, układając plan kampanii, o tem wódz myśli zapewne najmniej:

— Co powiedzą o tem na rynkach?

Frazes «od Bosforu do oceanu Spokojnego» jest bardzo piękny, lecz przedwczesny.

Należy poczekać na koniec wojny. My, Europejczycy, mamy o Azyatach mylne pojęcie.

Wydaje nam się, że ich inteligencya składa się wyłącznie z fantazyi, i że potrzeba oddziaływać na ich wyobraźnię.

Fantazyja i wyobraźnia?

Lecz proszę powiedzieć, dlaczego ludzie Wschodu są wyjątkowo zdolni w kierunku najpraktyczniejszym, tam, gdzie fantazyja i wyobraźnia są zupełnie zbyteczne,—mianowicie, w handlu?

Ludzie Wschodu są wyśmienitymi kupcami. O tem wiedzą wszyscy.

Proszę spytać chytrych i cheiwych Europejczyków, handlujących w Turcyi, czy łatwo oszukać Turka?

— Turka?—odpowiedzą. Turek sam każdego oszuka!

W Chinach nie mogą handlować Żydzi, naród Wschodni i zdolny do handlu, bo Chińczyk nawet Żyda obedrze.

Proszę popróbować obedrzeć Araba, handlarza-Indusa, oszukać Syngaleza.

Tak, ludzie Wschodu «lubią woń kwiatów fantazyi».

W Kairze handlarze-Arabi proszą derwisza, aby ten opowiadał im bajki z «Tysiąca i jednej nocy». Zwykły to obrazek na arabskim rynku.

Derwisz, podwinąwszy nogi, siedzi na progu sklepiku, i śpiewnie opowiada o zaczarowanej lampie Aladyna.

Cała dzielnica słucha go w milczeniu, zdaje się, z zatajonym oddechem.

Słuchają właściciele sklepów, zaciągając się kalianem. Wsłuchują się subiekci, przerzucając kawałki materyi i starając się robić to cicho, bez szelestu.

Rzemieślnicy delikatnie, zcicha, stukają, wykuwając desenie na bronzie. Stoją obok sklepów mały-poślańcy.

Wszystko to uniosło się w dziedzinę «czarodziejskich, cudnych urojeń».

Lecz proszę się zbliżyć i chcieć cośkolwiek kupić.

Bajka milknie, i stają przed tobą ludzie nie tylko praktyczni, ale wprost oszuści.

Oszukali, i znów popłynęła czarodziejska bajka, i znów umysły uniosły się w cudowną krainę czaru.

Zwyczajny to obrazek w Indyach. W bazarze zaproszony bramin deklamuje pieśń «Ramajany».

Deklamuje z patosem.

I wszystko naokół jest wzruszone. Wzruszone głęboko. Lada chwila łzy trysną im z oczu.

— Wszystkich roztkliwia ta miła historia, historia wcielonego boga Wisznu.

«I rzekł Rama przeslicznej swej towarzysze:

— Sito, uwolniona przeze mnie z mocy tyrana, władcy Cejlonu, czyś pozostała mi wier-
ną w niewoli?

I Sita odrzekła:

— O Władco! Nie znałam innych uścisków,
prócz tych, po których tęskniłam, uścisków twoich!

— Sito—rzekł jej Rama,—serce moje go-
reje! Tyś słaba, jak trzcina, jak kwiatek. Tyran
Cejlonu—to potwór. Być może przemocą, być
może podstępem uszczknął on kwiatek?

I odrzekła mu Sita z jasnemi oczyma:

— Nie, mój władco! Ni we śnie, ni na ja-
wie, nikt nie zbliżał się do mego łoża, albowiem
łoże moje do ciebie tylko należy!

— Wypróbujemy ją—powiedział Rama. I,
skazując na cierpienie, a sam cierpiąc, rozkazał
wypróbować Sitę ogniem.

— Obłóźcie ją drzewem i podpalcie stos!
powiedział on.

I gdy stos spłonął, wśród krwawo czerwonych
węgli stała Sita. I rzekła, zapłoniwszy się nie
od żaru ognia, lecz od wstydu próby:

Miły małżonku mój! coś za próbę dla
mnie wymyślił?

Rozkazałeś obłożyć mię czerwonymi lotosami, które pochylały się ku mnie szemrząc swymi listkami, że aż czułam ich woń przyjemną. Z takiej próby najwinniejszy wyszedłby niewinnym.

I rzekł jej Rama:

— O żono moja! Twych piersi przesłicznych niedotykały niczyje piersi! Pójdźże w objęcia moje! Imię Sita będzie wśród ludzi oznaczało wierność.

I przecudna Sita...

Lecz w tej chwili, do zasłuchanego handlarza podchodzi, kłaniając się, sudra i prosi o funt cukru na kredyt. Handlarz, słuchając pół uchem sudry, prowadzi z nim cichą rozmowę, bojąc się jednak uronić choć jednego słowa z historii przesłicznej Sity i wcielonego boga.—I biada sudrze, który podejdzie do handlarza, roztkliwiającego się, historią Sity!

Z zapartym oddechem, słuchając boskich słów Ramy, podyktuje on sudrze swe warunki. I biada sudrze, który wziął na kredyt funt cukru.

W naznaczonym terminie nie wezmą od niego pieniędzy, ale dopiszą za zwłokę trzy razy tyle. Z nadejściem nowego terminu powiedzą: «Możesz nie płacić» i dług potroją.

I powtarza się to dopokąd dług nie dosięgnie 10 lub 12 rupij. *)

Wtedy zawrą z nim umowę:

— Będąc dłużnym takiemu to a takiemu i nie mając możności uiszczenia mu się, obowiązujemy się pracować na niego, lub na kogo rozkaże, ja, moja żona, wszystkie dzieci moje, otrzymując od niego tylko pożywienie.

Taka umowa zawiera się na całe życie; wybawić od niej może jedynie spłacenie całego długu ze wszystkimi procentami. Zmuszą go do spełniania robót nieczystych, straci przez to nawet swą niewysoką kasę, obróci się w parryasa i stanie się zupełnie już bezbronną i wyjętą z pod prawa istoty.

Na rachunek procentów córkę jego sprzedadzą do miasta na hańbiący zarobek.

Stanie on się niewolnikiem.. za funt miłkiego cukru..

W niepojętej harmonii w Azyacie godzą się dwie natury. Jest on fantastą, marzycielem i poetą w duszy ale jest, jednocześnie, «trzeźwym» do cynizmu, gdy idzie o interes. Bezwzględna logika, zdolna jest zadusić człowieka tak, jak duszą się ludzie, oddychając czystym tlenem.

*) 6—7 rb. kop. 20.

Taką właśnie jest logika azyatów: prosta, trzeźwa, praktyczna, pozbawiona najmniejszego uczucia i sentymentalizmu. Czyni to z nich bezlitośnych wojowników i bezlitośnych lichwiarzy. Azyata obojętny jest na wszystko, byle skutek był dobry.

Mówi on z cynizmem:

— Ja cenię tylko według skutków.

Takim jest ten «fantasta» w interesach.

Rosya, podług ich zdania, zagraża całemu Wschodowi. A zatem wojna prowadzona przez Rosyę — to dobry interes. W interesach zaś Azyaci są praktyczni.

My to właśnie, Europejczycy, odznaczamy się wyobraźnią. Nas zachwyca «wielka sprawa», bohaterstwo, poświęcenie, zaparcie się siebie.

Dla praktycznego Azyaty wszystkie te dodatki nie grają żadnej roli:

— Ważny jest tylko rezultat!

Najświetniejsze zwycięstwo jest dla niego niczem. On pyta tylko jaki będzie koniec.

Nasz urok w Azji—to nie urok bohaterstwa. Nie jesteśmy dla nich ani bohaterami, ani szalenie mężnym narodem wojowników.

Urok Rosyi w umysłach Azyatów,—to urok olbrzymiej, żywiołowej siły.

Urok bezmiaru oceanu.

— Zabij dziesięciu, przyjdzie stu. Zabij stu, przyślą tysiąc. Zabij tysiąc, wyrośnie dziesięć tysięcy. Gdy zabijesz dziesięć tysięcy, jesteś zgubiony,—wyrośnie sto tysięcy.

— Rosya, koniec końców, zdusi Japonię.

W tym to «końcu końców» leży nasz istotny urok w oczach Azji.

I to, że wróg Rosyi jest silny, rozumny, i mężny nie może podkopać uroku Rosyi.

Otrzymując nawet wiadomości o wzięciu przez Japończyków Portu-Artura, Azyaci, przy całej dla Japończyków sympatyi, przy całym zachwycie z powodu ich zręczności i mężstwa, dodają:

— A pomimo to, koniec końców, Rosya zdusi Japonię.

I to, że ona, koniec końców, zdusi najsilniejszego, najmężniejszego, najzręczniejszego z wrogów, jakiego tylko może sobie wyobrazić Azya,—będzie właśnie zwiększeniem i wzmocnieniem jej uroku w Azji.

Na Wschodzie nie mamy zupełnie przyjaciół. Na Wschodzie wszyscy są naszymi wrogami. Boją się nas i nienawidzą nas. Lecz nie-

nawidzą z trwogą, jak można nienawidzić wrogi żywioł.

I wiara w siłę żywiołową niespożyta jest i nienaruszona, albowiem w Azji wszystkie zachwyty nad Japonią kończą się przygrywką:

— A pomimo to, koniec końców, Rosya zgniecie Japonię!

XIII.

Chiny i Wojna.

Co myślą o wojnie Chiny?

W Chinach nie byłem, lecz bóstwo podróżników przyszło mi z pomocą.

Spędziłem sześć dni w towarzystwie Chińczyka najwięcej interesującego z pośród 400 milionów Chińczyków.

Był to Kang-Ju-Uej, jeden z największych ludzi w świecie; podjął on nietylko myśl odrodzenia dla nowego życia 400 milionów ludzi, lecz wypracował też program, jak to uczynić należy.

Wielki reformator Chin, przyjaciel cesarza, w przededniu wcielenia swego dzieła musiał

uciekać, ponieważ cesarzowa wdowa ujęła władzę w swe ręce.

Od sześciu lat mieszka na wygnaniu, lecz, ma się rozumieć, stosunków z krajem nie przerywa. Obecnie mniej niż kiedykolwiek: im starszą jest cesarzowa, tem bliższym jest powrót Kang-Ju-Ueja i tryumf jego sprawy.

Każdy dzień zbliża go do Chin coraz to więcej i więcej.

O ojczyźnie swojej ma on najściślejsze wiadomości.

Jechał właśnie on z Japonii do Londynu.

-- Co myślą Chiny o wojnie?—spytałem Kang-Ju-Ueja przez tłumacza, i zarazem jego sekretarza.

— Chiny zupełnie nie interesują się wojną.

— ?! ?!

— Moi przyjaciele donoszą mi, że ludność nie zajmuje się zupełnie rozmową o wojnie. Chińczycy nie okazują jej stanowczo najmniejszego zainteresowania, jakgdyby to co się dzieje — działo się na innej planecie.

Mowa, ma się rozumieć, nie o miejscowościach graniczących bezpośrednio z teatrem wojny, a o tych 400-milionowych Chinach, które jedynie są ciekawe i straszne.

— Jest to zupełnie zgodne ze zwyczajami chińskiego narodu—objaśnił Kang-Ju-Uej,—u nas mieszkańcy jednego miasta nie wiedzą nawet, co się dzieje w drugim, leżącym na przeciwległym brzegu rzeki. Niema zwyczaju w Chinach interesować się dalekimi i ogólnymi sprawami. Interesują się tem, co dzieje się najwyżej w mieście; tem zresztą, co się dzieje w ich prowincyi: Lecz po za sprawę swej prowincyi ciekawość ich nie sięga.

— Ależ interesy całych Chin?

— «Chiny»?—takiego pojęcia dotychczas nie ma jeszcze w umyśle Chińczyka.

Zna on swoją prowincję, jej obyczaje, jej urzędnika, jej handel, jej rolnictwo, lecz aby ta prowincya miała coś wspólnego z drugą, o tem on nie myśli. Na sąsiednią prowincję patrzy, jak wy patrzycie na sąsiednie państwo.

Przy takich warunkach mówić o «zółtem niebezpieczeństwie», o poruszeniu się całych Chin, to trochę zawcześnie, prędzej już mówiłby można o sojuszu całej Europy.

Lecz jakim jest zdanie tych, którzy bądź co bądź interesują się wypadkami? Co oni myślą o Japonii?—spytałem. Sekretarz «wielkiego Chiń-

czyka» przetłumaczył mi jego odpowiedź w dwóch słowach:

— Small nation.

«Maleńki naród».

Można było odczuć przedstawiciela 400 milionowego narodu.

— Jest to ogólne zdanie Chińczyków o Japończykach.

— Takie też zdanie miały Chiny o Japonii w roku 1894,—zauważyłem,—na wojnę z Japonją patrzano, jak na poskromienie zbuntowanych wyspiarzy. Jenerałom chińskim rozkazano poskromić Japonię nie dalej, niż w ciągu miesiąca.

— Od tego czasu Japonia przecież nie stała się większą.

Pomimo klęski, lekceważący pogląd «olbrzyma» pozostał bez zmiany; obecnie Japonia ma innego wroga—dodał Kang-Ju-Uej.

Mówił on ze mną otwarcie, biorąc mnie za Niemca, co dodawało szczególnej wagi jego słowom.

— Rosya to nie Chiny pod względem wojennym.

Spytałem go o usposobieniu w Japonii.

Kang-Ju-Uej uśmiechnął się.

— W Japonii wszyscy są pewni zwycięstwa.

Lecz można jeszcze bardzo wesoło biesiadować w chwili, gdy nad głową wali się dach. Czy będą ludzie biesiadować gdy on się zawali?

Takim jest zdanie «największego z chińczyków», a podług słów jego i całych Chin.

XIV.

Rzeczywista powaga Rosyi.

Gdy szkice te drukowano w gazecie, otrzymałem od pewnego Anglika list protestujący.

Anglik pisze:

— Twierdzenie, jakoby niepowodzenia Rosyan w wojnie z Japonią nie miały żadnego wpływu na powagę potęgi rosyjskiej na Wschodzie, sprzeciwia się logice. Przeciwnie, zdanie, że «od Bosforu do oceanu Spokojnego, od bieguna Północnego do gór Himalajskich powaga Rosyi została zachwiana», jest zupełnie słuszne. Do niego potrzeba dodać tylko trzy słowa: «I po za Himalajami»,—w Indyach.

Przez pięć miesięcy korzystałem z gościnności Anglików i, nie będąc przyjacielem tych ludzi, głęboko poważam ich za ich rozum.

Nie chcę pozostawić listu Anglika bez odpowiedzi, a ponieważ sprawa ma znaczenie społeczne, odpowiadam publicznie.

Anglik radzi mi:

— «Zastanów się pan spokojnie i rozważ sine ira et studio».

Rosya ma przed sobą jeszcze dużo pracy w Azji. Dla tego powaga jej na Wschodzie jest sprawą tak ważną, że nie można mówić o niej inaczej, jak spokojnie. Będziemy więc mówić sine ira et studio.

Tak też tylko należy rozważać sprawy pierwszorzędnej wagi.

Jeżeli niepowodzenia oddzielne mogą mieć tak decydujące znaczenie dla podkopania powagi w oczach «Azyatów», to jakim było położenie Anglii po wojnie burskiej?

Co powinno być pozostać z jej uroku?

Co powinno się być obudzić w jej «podbitych posiadłościach»? Warunków prowadzenia wojny burskiej nie ma potrzeby przypominać.

Świetnie uzbrojona armia europejska w ciągu dwóch lat nie mogła uporać się z garścią «jakichś tam pastuchów».

Musiano posłać wszystkich najlepszych woźdźw, uciec się do pomocy wszystkich kolonij.

W końcu, na wojnę przeciwko kobietom, przeciwko dzieciom, wypadło posłać samego lorda Kitchenera!

Kłęski następowały po klęskach i to jakie.

Gdzież tu jakakolwiek powaga! gdzie urok władzy!

Należało oczekiwać, że cały Wschód powie: Gdzież się podziła powaga militarna Anglii! Podbite, lecz waleczne narody zawstydzą się, że znosiły ucisk takich zwycięzców, i zdawało się, że powstanie wybuchnie wszędzie, gdzie są niezadowoleni z Anglików, a takich miejsc wiele.

A jednak, czy wybuchło choć jedno poważne powstanie przeciwko Anglii po wojnie burskiej?

Okazały się wręcz przeciwne skutki.

Nic nie wzmocniło tak powagi Anglii na Wschodzie, jak wojna burska. I to właśnie dlatego, że wojna ta była dla Anglii piekielnie trudną.

— Lecz Anglia jest bogata i wojna burska ujawniła Wschodowi rzeczywistą siłę Anglii: bogactwo.

Proszę spytać pierwszego lepszego Azyatę, a odpowie!

— Jakże taki Transwał mógł walczyć z tak bogatym krajem, jak Anglia? prędzej by wymarli z głodu, zanimby zwyciężyli.

Azyata powie panu naiwnie, lecz racjonalnie.

Anglicy mają mało ludzi, ale za to dużo pieniędzy. Najmą wojsko, przywiozą je z daleka!

Są to odpowiedzi, które sam słyszałem. I to słyszałem setki razy, słyszałem wszędzie.

Uciekałem się do wybiegu:

— Anglicy to przecież marni żołnierze. Dowiodła tego wojna burska.

Sami są marni, ale im służą dzielni. Są oni bogaci. Zwiozą zewsząd. Zwiozą z Indyi, z Australii, z Kanady. Nie zdążysz obejrzyć się, a już przywiozą. Statków mają dosyć. Nie wystarczy tych, kupią ile im się podoba. Bardzo bogaci.

I to wszystko na zasadzie «doświadczenia wojny burskiej». Wschód widział, jak bo-

gactwo zgmiotło męztwo, i przycichł jeszcze więcej. Czuł się bowiem jeszcze więcej bezsilnym do walki.

Nie ma on takich bogactw do rozporządzenia, a więc o walce nie może marzyć.

Ilekróć przypominisz «Azyatom» o klęsce Anglików w czasie wojny burskiej, zawsze otrzymasz jedną i tę samą odpowiedź:

— Tak, lecz, koniec końców, Anglicy zwalczyli Burów!

Jak gdyby cały Wschód umówił się, aby dać jedną i tę samą odpowiedź.

Tłumaczy się to prostą logiką umysłu azjatyckiego, o której już mówiłem.

W każdym razie «Azyata» ceni tylko rezultat i tylko podług niego sądzi o rzeczy.

Powaga Anglii nie zmalała, ale wzrosła, bez względu na to, że trudno o mniej pomyślną wojnę od burskiej.

— No tak, ale to była wojna burska!

— To wojna z Japonią! Tamta ze 100 tysięcznym narodem. To zaś *wojna* z państwem o 50 milionach ludności.

Przy całej swej naiwności Azyata, obdarzony handlowym sprytem, rozumie różnicę: 100,000 i 50,000,000.

Tamto była garstka walecznych, to—świetnie zaopatrzona armia.

Jeżeli zaś wojna burska nie podkopała powagi Anglii w oczach Wschodu, to cóż mówić o wojnie japońskiej:

— «Od Bosforu do oceanu Spokojnego, od bieguna północnego do szczytów Himalajów» powaga siły rosyjskiej jest zachwiana!

Porzucimy, jednakże, wojnę burską i przejdźmy do chwili bieżącej.

Statek nasz zatrzymał się w Adenie.

Dziewczynka-Australka, przechyliwszy się, patrzyła za burzę.

— Mamo! Mamo!—zawołała nagle—kościotrupy idą!

Wszyscy zaciekawieni spojrzeli za burzę.

Po długich schodach okrętowych długim złowrogim sznurem, powolnie i z powagą, wchodziło na statek dziesięć kościotrupów.

Dziesięć szkieletów, obciążonych brązową, starą i wytartą skórą.

Na kościotrupach wisiały spodnie i okropnie szerokie marynarki. A wiatr jak żaglami igrał temi białymi całunami.

Na czaszkach tkwiły szerokie podzwrotnikowe kapelusze.

W oczodołach czaszek błyszczały oczy.

Wszedłszy na pokład, kościotrupy powyciągały się na cudzych szezlongach. A gdy zadzwoniono do obiadu, zjawiły się w jadalni, pozrzucały z siebie marynarki i w samych koszulach, zawinawszy rękawy na obciążniętych brązową skórą kościach, zaczęli pożerać nie jeść. Wszyscy mężczyźni byli podług zwyczaju, we frakach i smokingach, wszystkie damy—dekolté, lecz nikt nie protestował przeciwko dziwnemu zachowaniu się kościotrupów.

Czegoż można wymagać od kościotrupa!

A kościotrupy wciąż wołały:

— Jeszcze!

Jadły w milczeniu i pracowały szczękami, jak maszynami. Gdy zaś obiad doszedł do puddingu, pysznego gorejącego błękitnym płomieniem puddingu, kościotrupy nałożyły sobie na talerze tyle, ile należało się dla 40 pasażerów i uśmiechnęły się.

Zdawało mi się, że uderzyły zębami, jak kasztanietami. I wszyscy spoglądali na nich przychylnie.

Nikt nie powiedział.

— Shoking!

Byli to, powracający z Somali, w liczbie dziesięciu, oficerowie, którzy przebyli tam dwa lata i zupełnie zdziczeli.

Co to znaczy «zdziczeć»?

Nie znaczy to «stracić maniery», zapomnieć, że nie można jeść rękami, zdejmować ubrania przy obiedzie, ale znaczy to, po wojskowemu, «powrócić do stanu natury, utracić ten miękki, inteligentny odcień, który Europa w ciągu stuleci nadała rysom twarzy białej rasy».

Pozostały li tylko rysy zoologiczne twarzy ludzkiej, bardzo podobnej do twarzy małpiej.

Coś zwierzęcego uwydatniło się w budowie szczęk. Oczy zatliły się podejrzanym blaskiem, jak u dzikiego zwierza, który zdolny jest tylko do obrony lub napaści.

Spoglądało się na nich z trwogą.

— Do czego są teraz zdolni ci ludzie?

W ciągu dwóch dni kościotrupy-oficerowie, jak milczące cienie, bładzili po pokładzie, pośród stojącego tłumu podróżnych.

Pomiędzy sobą nie zamieniali prawie ani słowa. W ciągu dwóch lat wyprawy omówili już wszystko i śmiertelnie obrzydli jeden drugiemu.

Na zapytania pasażerów odpowiadali krótko, oburkliwie: odzwyczaili się od rozmowy z obcymi.

Wreszcie stopniowo zaczęli «przychodzić do siebie».

W oczach ich zajaśniało coś ogólnoludzkiego, europejskiego: miękkiego i do pewnego stopnia nawet miłego.

Zaczęli mówić dłuższymi zdaniem.

Stali się prawie zupełnie podobni do wszystkich.

Przeplýwaliśmy kanał Suezki, przecinając słynną drogę karawanową z Afryki do Mekki. Brzegiem przeciągała sznurem powracająca z Mekki karawana wielbłądów.

Ujrzawszy je, jeden z kościotrupów wykrzyknął jakieś arabskie słowo, którym arabi popędzają «okręty pustyni».

To wywołało wspomnienia. Wszystkie kościotrupy wyszczerzyły zęby. Nie można nazwać inaczej ich uśmiechu.

I na ich twarzach znów zabłysnęło coś takiego, że nie mogłem wyobrazić sobie bez drżenia spotkania arabsów z tymi kościotrupami w pustyniach Somalu.

Dużo, zapewne, wspomnień kryło się w czaszkach kościotrupów.

Zapraǳniałem wyciągnąć z nich te wspomnienia.

Zagadywałem, wymyślając co się zmieści Somaleczykom.

— Lord Kitchener, umie sobie radę dawać z tym narodem. On nie romansuje.

Uśmiechali się!

— No, i bez Kitchenera...

Milkli, i tylko z uśmiechów, błędzących po ich twarzach, można się było domysleć, co za wspomnienia roily się w czaszkach kościo-trupów.

Wracali oni z najhaniebniejszej wyprawy.

Haniebnej i porzuconej z powodu niemożności doprowadzenia jej do skutku.

Wracali nie po szlachetnej, ofiarnej walce, nie powracali z wojny, lecz z uciążliwego polowania, na którym nie udało się wpaść na trop «zwierzyny».

Powracali rozgoryczeni:

— Cóż to była za wyprawa!

Po co nas posyłano!—mówili,—w samej rzeczy jakiś «szalony muła», którego całe bogactwo składało się z trzech tysięcy strzelb, okazał się niezwyciężonym.

Nie mułła jest szalony! Waryaci są w Londynie—wymyślali kościotrupy-oficerowie z Somaliu.

Zabrawszy z sobą żony, dzieci i cały swój dobytek, wojska mułły przebiegały pustynię, jak fata morgana. Złudzenie wyrastało to tu, to tam, znikało i znów powstawało.

W prawo, w lewo, z przodu, z tyłu od kolumny.

— Koniec końców, opowiadał jeden z kościotrupów, zmieniło się to na jakąś hallucynację! Czy mułła ten istnieje rzeczywiście? Czy istnieje jego armia? Czy może zwaryowałem i wydaje mi się tylko, że widziałem jakąś Afrykę, jakąś pustynię. Może to własną gorączkę, uważam za żar słońca. Dokoła mówią: «szalony»— może to o mnie. Ja zaś w chorej wyobraźni imaginuję sobie jakiegoś «szalonego mułłę». Mułła naprężył wszystkie nerwy. Raptem w nocy zrywasz się: «Wojska mułły idą», wokoło zaś cisza zupełna. We dnie lśniące słońce i zło to pustyni oslepiają oczy; wypatrujesz choć śladu ich? Nic niema. Jedną z właściwości wojska «mułły»—jest umiejętność biegania.

Ludzie ci, będąc w stanie po dwa i trzy dni pozostawać bez wody, mogą biedz dzień cały

lub całą noc, z szybkością, idących wyciągniętym kłusem koni. Odpoczywając w ciągu upalnego dnia, w ciągu chłodnej nocy odbywali oni niepojęte wprost marsze.

Raptem znikali ztamtąd, gdzie ich już dostrzeżono i chciano otoczyć, i zjawiali się tam, gdzie się ich nikt nie spodziewał.

Zwodzili oni armię angielską, po pustyni, wabiąc ją w głąb, to zmuszając do odwrotu.

Wodzili ją jak im się żywnie podobało, odprowadzając umiejętnie od źródeł wody.

Zmordowana pragnieniem, upałem, pogonią za mirażem, armia angielska dochodziła do wściekłości.

Nic dziwnego, że ludzie przeistoczyli się w «kościotrupy».

— Żeby choć jedna bitwa!—z wściekłością wspominali, zdaje się żeśmy już dopadli, że zmusimy ich do przyjęcia bitwy. Jeszcze jeden marsz... Przychodzimy,—goła pustynia. Zniknęli... podjazdem niekiedy spotkasz garstkę maruderów...

Tu zamilkł...

A co się z taką gromadką maruderów działo?... Taką była wyprawa somalska.

Trudno było chyba o lepszą sposobność stracenia uroku, zachwiania się «powagi» Anglii.

— Jakto! odstąpić nie zmógłszy jakiegoś tam muły!

A jednak Anglicy nie boją się, by Arabi z tego powodu powstałi. Nie zwiększają załóg swych w Egipcie. Nie uważają, by powaga ich u Arabów została zachwiana.

Czas przestać być naiwnym i wierzyć w naiwność Wschodu, wierzyć, że jego mieszkańcy zamiast wyobraźni—mają dynamit, że ludzie żyją tu samą tylko wyobraźnią.

Wschód bardzo się interesuje polityką, ale sądzi o niej trzeźwo i logicznie. Dla niego rzeczywista powaga Anglii, to:

— Bogaty kraj!

Rzeczywista powaga Rosyi:

— Olbrzymi kraj!

Powaga ta jednego i drugiego narodu jest zupełnie nie zachwianą w oczach Wschodu i nie zachwieją jej nawet najliczniejsze, ale oderwane, epizody.

XV.

T y b e t.

Byłem w Indyach podczas ekspedycji tybetańskiej.

Mówiono tam wtedy bardzo wiele o wojnie rosyjsko-japońskiej, o podniesieniu ceł angielskich na herbatę indyjską, o rozkazie lorda Kit-chenera, w którym tenże gromił «spanoszonych generałów» i «próżniaków oficerów». Nie mówiono zaś nic o Tybecie.

Zdawało się, że w Kalkucie, Madrasie, Bombaju o Tybecie myślą nie więcej, niż w Kaluskiej gubernii.

— Dziwna rzecz!

Towarzysz mój z Sekunderabadu, Anglik, od 30-tu lat zamieszkały w Indyach—w odpowiedzi wzruszył tylko ramionami:

— Kwestya Tybetu zanadto jest ważną, aby o niej wypadło rozmawiać!

— ?! ?!..

— Tybet powinien do nas należeć. Jest to kwestya naszego spokoju. A zatem należeć do nas będzie. O czemże tu jeszcze rozprawiać?

Każdy przeciętny Anglik miewa jeden i ten sam sen.

Wspiął się on na szczyty gór Himalajskich—tam, gdzie, podług podań Indusów, z głowy boga Sziwy wypływa błękitna i przezroczysta rzeka Ganges.

A na północy, kędy rzucisz okiem, niby skoszona niwa, wszędzie błyszczą w słońcu stalowy gąszcz bagnetów.

To bagnety rosyjskie.

Bagnety te—to zmora anglików.

Dusi go ona w Indyach, zarówno jak w Londynie, lub Sydneyu.

W broniącym Indye od północy, niedostępnym murze Himalajów są dwie bramy:

Biała i żółta.

Na zachodzie brama «biała», przez którą szli wszyscy wielcy zdobywcy Indyi.

Przez tą bramę przyszli aryjowie, Aleksander Macedoński, wielcy Mongołowie.

Przez bramę żółtą na wschodzie, doliną Bramaputry, spuszczały się w doliny Gangesu żółte plemiona.

Te dwie bramy «białą» i «żółtą» utworzyła w murze Himalajów natura.

Historya postawiła u bram tych dwóch stróżów.

U «białej» stoi emir afgański, w którym
niema nic tajemniczego, po prostu przewrotny łotr.

U «żółtej» stoi na straży tajemniczy dalaj-
lama tybetański,

Urzędowy tytuł emira:

— Dostojny przyjaciel cesarza Indyi, Je-
go Wysoka Mość emir afgański.

Mniej urzędowy:

— Nasz przyjaciel emir.

Zupełnie nieurzędowy:

— Nasz przyjaciel emir, żeby go wszyscy
dyabli wzięli!

Ostatni okrzyk najwięcej jest rozpowszech-
niony w Indyach.

Afganistan—to bufor pomiędzy Rosją i An-
glią.

Tylko że w Indyach utrzymują, że bufor ten
jest z czystego złota.

«Nasz przyjaciel emir», z przebiegłością
Azyaty, umie wyzyskać korzyści swego położenia.

I na wzór sędziego z Gogola:

Dopóki proces trwa, ściga zające na obu polach.

Azyata ten zachowuje się, jak kokota.

Kocha on Anglię, lecz...

— Proszę nie zapominać, że w razie cze-
go, ja mogę pójść na utrzymanie i do innego!

«Naszego przyjaciela» wypada to postraszyc, to popieścić.

Dzisiaj prowadzić z nim wojnę, jutro zaś umacniać z nim przyjaźń.

Wojna z nim kosztuje drogo, pokój jeszcze drożej.

Żąda on podarunków.

— Muszę być dobrze uzbrojonym.

I posyła mu się armaty, nie będąc pewnym w którą stronę, w razie potrzeby, zwrócą się ich paszcze: na północ czy też, nie daj Boże, może na południe?!

Uzbrajanie emira—to jedna z tych operacji, które wiele dają do myślenia.

— Przygotowania te do zabójstwa, bardzo przypominają przygotowania do samobójstwa!

Oto słowa przypisywane lordowi Robertsonowi:

— Mieć jednego emira—zapewne. Cóż robić! ale mieć dwóch emirów...

Anglik, prowadzący ze mną rozmowę o Tybecie, syknął...

Tybet, ten stróż u bramy «żółtej», był dotychczas niemy stróżem. Żył on swem tajemniczym życiem. Mało co o nim wiedziano. Wiedziano, że zamieszkuje tam papież świata buddyjskiego, dalaj-lama, mówiono też, że lamowie

zabijają zazwyczaj dalaj-lamę, ażeby zadługo nie siedział na swym tronie. Cały świat kochający się w cudach, obiegły opowieści o wszechpotędze lamów tybetańskich.

Mieszkają oni w klasztorach, na niedostępnych górach.

Gdy lama musi rozmówić się z drugim lamą, nie zadaje on sobie trudu, nie jedzie do niego, nie spuszcza się w przepaściste doliny, nie wdrapuje się na strome złodowaciałe góry.

On poprostu, siłą tajemniczych swych wiadomości, przywołuje do siebie ducha potrzebnego mu lamy. I gawędzą o sprawach swych klasztorów przez trzy lub cztery dni.

Tak na dachach klasztorów zbierali się lamowie i decydowali o losach świata.

Strwożony zaś i drżący świat buddyjski posyłał im do Tybetu pieniądze.

Dla Anglików było to, ma się rozumieć, w wysokim stopniu obojętnem. Niechże lamowie sobie fruwać, a wylękli wierni płacą im za te powietrzne podróże pieniądze!

Lecz nagle lamom zachciało się rzeczywiście «zdecydować o losach świata». Postanowili nie fruwać, natomiast wyprawić poselstwo do

Rosyi. Zaczęli ją kokietować, zrobiło to na Anglii olbrzymie wrażenie:

— Nowy emir?!

I w chwili tej—losy Tybetu zostały zdecydowane.

— Czyż istotnie brama «żółta» dla przyszłego, domniemanego zdobywcy przedstawia takie dogodności...

— Zapewne nie tak wielkie jak «biała», zachodnia. Brama żółta otwiera się ciężko. Przejście przez Tybet pełne jest straszliwych trudności. Ale tu trudne jest tylko przejście. Natomiast przez «białą» trudno wejść do Indyi. Przeszedłszy bramę «białą» zachodnią, czy to po zdobyciu Afganistanu, czy też zawarłszy przyjaźń z «naszym przyjacielem emirem»—zdobywca spotyka się z mahometańską ludnością Indyi, ludnością męzną, wojowniczą, jedyną, która warta jest cośkolwiek w Indyach. Co się tyczy Indyi właściwych...

O Indyach właściwych istnieje bajka, ułożona przez jakiegoś Indusa-inteligenta—rozgoryczzonego patriotę—babu. Jest ona pisana nie bez żółci i łez i warto ją przytoczyć.

Pewnego razu do biednego Indusa przyszedł sam komisarz,—właściwie, angielski poborca podatkowy, a wedle przysługujących mu praw, to gubernator,—i rzekł:

— Krisznaswaminajdi, od dnia dzisiejszego jesteś wolny. Zupełnie wolny. Niema nad tobą oni Anglików, ani nawet radży! Indus złożył ręce, jak do modlitwy:

— Dziękuję, master! Ale proszę mi powiedzieć, komu winienem za tę swobodę zapłacić?

Komisarz rozgniewał się:

— Jakiś ty niepojętny. Niewiem nawet, czy można cię nazwać człowiekiem!

Zrozum że: nad tobą niema ani Anglików, ani radży,—nikogo! Jesteś wolny! I odszedł.

Krisznaswaminajdi pozostał w wielkiej niepewności:

— Rozgniewał się master! i odszedł nie wytłumaczywszy mi rzeczy najgłówniejszej: komu będę teraz płacił?

Nikt się nie zjawiał.

Lecz Krisznaswaminajdi był człowiekiem ostrożnym.

Jadł on tylko najgorsze, nadpsute banany. Wszystkie lepsze odkładał:

— Przyjdą, to zapłacę.

Pił tylko odrobinę mleka i mówił żonie:

— Z pozostałego zrób twaróg lub masło—zażądają—oddam.

Ryż jadł ostrożnie.

Jedną garść zjadał, cztery odkładał:

— Przyjdą,—niechaj zabiorą.

Lecz żona jego Lakeczmiamal nie była przewidującą i ostrożną, jak Krisznaswaminajdi.

Gdy razu pewnego oddalił się bardzo daleko i na czas bardzo długi we własnych interesach,—powróciwszy ujrzał na drodze w pobliżu swego domu tłustego i zdrowego chłopca.

Policzki nieomal pękały.

— Krisznaswaminajdi oniemiał z podziwu:

— Oto, proszę patrzeć, zdarzają się przecież takie dziwy! Jakież zdumiewające podobieństwo! Gdyby ten chłopiec nie był tak tłusty i zdrowy,—przysiągłbym na wszystkich bogów, że to Rama. Chciał już zapytać:

— Czyjże ty jesteś chłopcze?—gdy tłusty chłopiec rzucił się do niego:

— Ojciec! ojciec!

I pobiegł do domu, krzycząc:

— Ojciec! ojciec przyszedł!

Krisznaswaminajdi zdziwił się okropnie—i o mało nie padł na ziemię z podziwu.

Na progu jego domu stała obca kobieta.

Tęga, przystojna.

Żeber nie było widać. Obojczyki nie występowały. Bransolety na nogach i rękach nie obijały się, jak na kijach.

— Cóż to za znakomita cudzoziemka? zdziwił się Krisznaswaminajdi,—nie innego tylko żona lichwiarza!

Lecz znakomita i tęga kobieta uśmiechnęła się radośnie, wyciągnęła ręce i zawołała głosem żony jego Lakezmiamali:

— Kriszna!

Krisznaswaminajdzie jakby kto podciął nogi.
Siadł na trawie.

— Lakezmi?!

I załamał ręce nad głową:

— Siwa-i-annama! Boże Siwo, zmiłuj się nad nami. Ktoś gniewa się na mnie za to, że nie płacę, i karze mnie. Oto nie poznałem żony mojej i dzieci. Potem stanie się coś jeszcze gorszego!

Gdy żona przygotowała mu smaczne jedzenie, zapytał:

— Któż was tak przeistoczył, dlaczego jesteście tak piękni?

Lakezmi roześmiała się:

— Jedliśmy wszystko nie odkładając.

Roztropny i ostrożny Krisznaswaminajdi po-
kiwał głową i zbureczał żonę:

— Aj, aj, aj! Pocoś ty to robiła! Jeżeli przyjdą i spytają, co będzie z nami, niemądra kobieto?

I Krisznaswaminajdi znów zaprowadził w domu porządek.

— Spożywał tylko najmniejsze i nadpsute banany, ryż jadł z ostrożnością, mleka wypijał na dzień kropelkę. Dzieciom i żonie wydzielał tyleż.

I cieszył się Krisznaswaminajdi. Nie minął jeszcze miesiąc kiedy rzekł:

— Teraz widzę znów i swoją żonę i swoje dzieci takimi, jakimi ich znam. Popatrz na dzieci—wszystkie kosteczki można im porachować! A przedtem biegały tu jakieś obce tłuszciochy!

I mówił żonie, śmiejąc się:

— Teraz obejmuję cię bez trwogi. Moja Laczmi, moje drogie kosteczki! A przedtem obejmowałam cię ze strachem. Ciągle zdawało mi się, że ukradłem żonę radży. Taka byłaś ładna!

I z westchnieniem dodał:

— A jednak dobrze być radżą!

Wszystko, co tylko sprzątnął lepszego z pola i ogrodu, odkładał. Lecz nikt nie przychodził. Wszystko schło i gniło.

Niepokoilo to Krisznaswaminajdę.

— Cóż my: żyjemy i nikomu za to nie płacimy. Wiesz co, Lakezmi! Postaw na noc na trawie dzban z mlekiem, może przyczołga się kobra i wypije. Będziemy chociaż kobrze za siebie płacili!

Lecz mleko nazajutrz skisło. Nikt go nie ruszył.

Krisznaswaminajdi złapał się za głowę:

— I kobry nawet niema?

Przywiąż na noc kozłę do drzewa,—być może, choć tygrys przyjdzie i zje! Chociaż tygrysowi zapłacimy. Ale kozłę zrana beczało radośnie.

Krisznaswaminajdi zupełnie stracił głowę:

— Wszyscy się nas wyrzekli!

Nikt od nas nie chce brać!

Lękał się.

Nagle około domu rozległ się krzyk dziecięcy. Lakezmi przybiegła strwożona.

— Ramie kokos spadł na głowę z palmy,—rozbił mu ją! Nasz Rama umiera!

Krisznaswaminajdi zerwał się z radością:

— Oto komu potrzeba płacić! Drzewu! Nie płaciliśmy, więc się rozgniewało! Wiem teraz przynajmniej, jak je przebłagać!

Rozkazał on Lakczmi, ażeby najpierw wlała na drzewo i zawiesiła na liściach wszystkie swoje ozdoby:

— Nie płaciliśmy mu, więc się rozgniewało!

Odtąd Krisznaswaminajdi zaprowadził w domu jeszcze większą oszczędność i wstrzemięźliwość.

Wszystko mleko wylewano na ziemię około «drzewa-gospodarza». Zakopywano tam także lepsze banany:

— Niech tylko się na nas nie gniewa! Na ziemię, koło drzewa rozrzucano i ryż. Wkrótce pod palmą załęgło się takie mnóstwo mrówek, że po całych nocach ani Krisznaswaminajdi, ani żona, ani dzieci nie mogli spać. Mrówki zjadały wszystko: nie tylko to co było pod drzewem, lecz i resztki pozostawione w domu, dla rodziny.

— Nie wypędzaj ich!—rozkazywał żonie:— Nie wypędzaj! Cóż robić, trzeba cierpieć.

I wskazywał ze strachem na groźne drzewo:

— Ono je wyhodowało! Jego są mrówki! Trzeba milczeć.

A mrówek wylęgało się coraz więcej i więcej. Rodzina Kriszny cierpiała głód. Z drzewa zerwał się jeszcze jeden orzech kokosowy i zabił jeszcze jedno dziecko. Krisznaswaminajdi płakał:

— Jakie złowrogie drzewo! Zachciało mu się jeszcze mały sprowadzić! Zjawiły się dwie mały i zamieszkały na niem. Teraz już zupełnie nie będziemy mieli co jeść.

— Ściał byś drzewo,—mówiono mu.

Krisznaswaminajdi kręcił głową:

— Tak! Dobrze to mówić! A komuż ja wtedy będę płacił za to, że żyję?

Tak opowiada nie bez żółci i łez induski patryota—babu. Niewola rodzi jeszcze coś gorszego, niż pokorę, bo potrzebę niewolnictwa.

Induskie Indye nie pamiętają, takich czasów, kiedy do nikogo nie należały i dlatego nie mogą sobie nawet podobnej sytuacji wyobrazić. Do kogo zaś należą jest im to w wysokim stopniu obojętnem.

Mogą tam dzwierać jakiegokolwiek miecze:

— *Noli tangere circulos meos!*

Pozostawcie im ich religię, ich kasty,—a będzie im zupełnie obojętne, kto jest ich władcą.

— Ludność muzułmańska, którą napotka zdobywca, wtargnąwszy przez zachodnią «białą» bramę, zadecyduje o losach Indyi.

Ona tylko w Indyach jest i silną i waleczną. Jeżeli zdobywca potrafi ją pociągnąć na swoją stronę—całe Indye będą zdobyte. Indye właściwe bez oporu poddadzą się każdemu. Jeżeli miliony muzułmańskiej ludności pozostaną wiernymi Anglii,—sprawa zdobywcy przegrana. Walka z mężnym muzułmańskim narodem, do tego walka w niezwykłym, zabójczym klimacie, pośród pustyń, cholery, dżumy Pendżabu,—to pewna prawie mogła dla każdej armii. Dostać się do «żółtej» bramy, przez Tybet, trudniej. Lecz, przeszedłszy przez nią, zdobywca wchodzi odrazu w kwitnące doliny Gangesu, do najurodzajniejszej miejscowości na kuli ziemskiej, do «Indyi właściwych», gdzie zwycięzcy wszystko pójdzie jak po maśle. Pierwsze narody, które napotka, to—narody Bengalii, cieszące się opinią największych tchórzów nawet wśród Indusów. Największych zdrajców, gotowych sprzedać co im się żywnie podoba i oddać się komukolwiek.— Do «żółtej» bramy dotrzeć trudno. Lecz ten, kto przestąpił ją, stapa po miękkim, usła-

nym kwiatami kobiercu, pośród klęczących pokornie niewolników.

Takiem jest, podług słów zamieszkałych w Indjach Anglików, znaczenie Tybetu.

— Jakże tam wojna z Tybetem?

Na takie pytanie Anglik w Indjach odpowiada chłodno i opryskliwie:

Niema żadnej wojny. Jest tylko wyprawa na Tybet.

Radzowie indyjscy, aby zaznaczyć swoją przychylność dla Anglii, spieszyli na wyścigi z ofiarowaniem swych usług.

Jeden proponował swych saperów, drugi artyleryę, trzeci całe swe wojsko na wyprawę do Tybetu.

Rząd indyjski wydał wszystkim dyplomy zasługi.

Kierujące radzami uczucia przynoszą im zaszczyt. Cały naród angielski z przyjemnością dowiaduje się o wysokich wiernopoddańczych uczuciach, które ożywiają radzów indyjskich.

Rząd indyjski nie omieszka przedstawić do wiadomości wysokiego opiekuna radzów, Jego K. C. Mości Cesarza Indyi, wyrażonych przez radzów uczuć.

Rząd indyjski nigdy o tych uczuciach nie wątpi. Jest on przekonany, że, jeżeli los ześle próbę, wszyscy radzowie spełnią swój obowiązek i przyłączą swe wojska do szeregów sławnych wojsk angielskich.

Lecz w danej chwili rząd indyjski prosi aby się uspokoił. Żadna pomoc z nieczyjej strony nie jest potrzebną.

Nic się nie dzieje! Niema żadnej wojny. Jest poprostu wyprawa!

Wojna ma na celu podbój. Obecnie niema na widoku żadnego podboju.

Wyprawa ma na celu ochronę naruszonych przez Tybet interesów brytańskich. Jest to tylko niewielka wyprawa karna. Nic więcej!

W Indjach lękają się słowa:

— Wojna.

Co rok w Bombaju zbiera się ogólno-indyjski zjazd babu—inteligencyi. Jest to—pozbawiony wszelkich praw parlament.

Rozpatruje on najżywotniejsze sprawy krajowe, ale nikt go nie słucha.

Formułuje wnioski, które nie obowiązują nikogo. Przedstawia petycje, które idą pod suknio. Wyraża protesty i nagany, na które nikt nie zwraca uwagi. Ten «platoniczny» parlament

—to wszystko, co uzyskała indyjska inteligencja—
babu.

Przypomina on tego wołu, o którym opo-
wiada Berne.

Wołowi zachciało się swobody.

Zaczął tedy rozbijać rogami ścianę swej
zagrody.

Złamał rogi. Dostał strasznego bólu gło-
wy. Lecz dopiął swego. Ściana została przebi-
ta, wół mógł wysuwać głowę, i ryczeć na
swobodzie.

Babu «ryczą na swobodzie».

Z «platonicznej mównicy» mówią o wszy-
stkiem swobodnie. Czy bez skutku?

W odpowiedzi przytoczę słowa pewnego
babu:

— Słowo, które wyrwało się raz na swo-
bodę nie przepada. Wędruje ono, zatrzymuje się
w jednych głowach, jak w hotelu, w innych za-
mieszkuje na stałe. Wznieca intrygi z mie-
szkającymi tam myślami. Przyciąga je. Z nie-
go rodzą się nowe myśli. I zaludnia ono świat,
tak jak zaludniają go ludzie.

Śmiałe słowa, wygłaszane w «platonycznym
parlamencie», obiegają kraj, budzą senne od
4500 lat myśli Indusów, aż ci, zrośnięci już

z łańcuchem niewolnicy, zaczynają się zastanawiać nad tem co czynią z nimi zwycięzcy?

U «gadających» babu główny atut przeciwko angielskiej samowoli, to:

— Wojna.

Za pomocą wojsk indyjskich i za indyjskie pieniądze Anglia prowadzi wojny, zupełnie dla Indyi niepotrzebne. Myśl to prosta i dla całej ludności zrozumiała:

— My tu umieramy z głodu, a oni za nasze pieniądze prowadzą wojny!

W lata nieurodzaju, podczas których literalnie z głodu wymarły miliony Indusów,—groziło powstanie nawet przyzwyczajonych do roli niewolników Indusów.

Zatliły się bunty.

Gdyby wówczas, «wróg Anglii»,—zechciał korzystać z chwili, w całych Indyach, powtórzyłyby się okropności roku 1857—roku powstania sipajów.

Niechby tylko Indus poczuł, że Anglia przeżywa trudną chwilę...

Zalawszy potokiem krwi pożogę buntu, postanowiono na przyszłość asekurować ludność od głodu.

Utworzono specjalny kapitał na wypadek nieurodzajów.

Kapitał ten w czasie spokojnym powinien być wydatkowany na podnoszenie rolnictwa, przeprowadzanie kanałów, urządzenie irygacyi.

To spowodowało nowe podatki,—a podatki i tak były ciężkie:

— Nie będziecie za to cierpieć głodu!

Cały «fundusz głodnych» wydatkuje się wyłącznie na prowadzone przez Anglię wojny.

I dlatego słowo «wojna» — jest strasznem słowem w Indjach.

Babu podnoszą alarm:

— Znowu prowadzą wojnę za pieniądze, które powinni dać nam na chleb.

I każdy Indus nawet zupełnie ciemny zrozumie to, bo zrozumieć tego nie trudno.

I dlatego wyrazu «wojna» nie wymawia się w Indjach, jak słowa «postronek» w domu powieszzonego. Niema wojny, jest tylko wyprawa.

Obok olbrzymich depesz o zwycięztwach japońskich, gazety indyjskie drukują króciuchne— o wyprawie.

— Wyprawa posunęła się jeszcze o tyle a tyle mil. Wynikła potyczka. U nas zabity

jeden sipaj, raniono dwóch. Tybetańczyków zginęło 300, ranionych 500.

— U nas lekko raniony jeden. Tybetańczyków zginęło 400.

— Nasze straty: zabito dwa konie, jednego kontuzjowano. Tybetańczyków zginęło 500.

Wszyscy rozumieją, że wyprawa gromi bezbronnych.

Czasem zjawi się wiadomość, że Tybetańczycy napadli na naszą pocztę. Pocztylion zabity.

Lecz zaraz zamieszcza się wiadomość uspokajająca:

Porucznik ten a ten z oddziałem został wysłany w celu ukarania występnej wsi.

Całej wsi.

Nazajutrz depesza komunikuje:

— Ekzekucya występnej wsi trwa w dalszym ciągu.

Nakoniec zaś wiadomość:

— Porucznik ze swym oddziałem przyłączył się do sił głównych.

I na tem koniec.

Każdy doskonale rozumie, co to znaczy. Lecz wszyscy milczą. Ma się rozumieć, jeżeli

naród pokonany,—jak było w Australii,—nie jest skazanym na zupełną zagładę, Anglicy zaraz nazajutrz po zdobyciu wprowadzają w podbitym kraju sprawiedliwość i porządek.

Zachowują się oni z najgłębszym szacunkiem względem pojęć religijnych zwyciężonych.

Wprowadzają, najlepsze w świecie angielskie sądownictwo, — rzeczywiście równe dla wszystkich.

Prywatna osoba jest nietykalną.

Własność również.

Żadnych łapówek i zdzierstw.—Ma się rozumieć, podatki nie wchodzą w rachubę.

Nikomiu żadnej krzywdy.

Lecz do chwili, w której kraj nie zostanie podbity, Anglicy nie znają «sentymentów».

Najszczerzy z Anglików przyznają:

— My im dajemy wszystkie okropności wojny, ale i wszystkie dobrodziejstwa pokoju.

Dwa dni trwa «egzekucya» wsi...

Anglicy urodzeni w Indyach, którzy słyszeli od ojców o słumieniu rokoshu sipajów w Kanupurze, mówią:

— Wówczas kiedy na drzewach było więcej ludzi, niż owoców!

Wiedzą oni, co to znaczy.

Gdy lord Kitchener ogłosił swój słynny rozkaz, w którym karciał «wielkich panów jenerałów» i «sportowców oficerów»,—w gazetach zjawiało się dużo złośliwych i pisanych w rozdrażnieniu listów. Wszyscy rozumieli, że to piszą ukrywający się pod pseudonimami oficerowie:

— Zamiast wymyślać angielskim oficerom od łotrów, lord Kitchener zrobiłby lepiej, gdyby stanął na czele ekspedycji do Tybetu. Przeciąga się ona nazbyt długo dla powagi armii angielskiej. Złośliwe te listy spotkały się z jednomyślnym protestem ze strony społeczeństwa angielskiego w Indyach.

Gazety przepełnione były protestami czytelników:

— Pp. oficerowie graliby lepiej w dalszym ciągu w polo i krockieta, zamiast się wtrącać do głównodowodzącego armią indyjską, dysponować mu dowództwo ekspedycją. Pp. oficerowie nie wiedzą, co robią, nadając ekspedycji w oczach kraju znaczenie wojny. Tybet nie zasłużył na Kitchenera. Kitchener, to—«legenda», w rodzaju podań o starożytnych zdobywcach Wschodu.

Samo nazwisko «Kitchenera» powinno już wzniecać trwogę w narodzie, przeciw któremu on został wysłanym.

Kitchener—to pustynia, pozostająca po jego przejściu.

Kitchener—to nietylko stopy ciał mężczyzn, kobiet i dzieci! Zabija on nietylko ciało ale i duszę.

Gwałciciel mogił i świątyń, Kitchener wy dobył z mogiły ciało Mahdiego i wrzucił je do rzeki.

W dniu, gdy zagrzmie trąba archanielska i Allach zasiądzie na górze Moria, aby sędzić żywych, albowiem w dniu tym ożyją wszyscy pochowani w ziemi,—w dniu, w którym nad gorejącą ogniem doliną Jozafata przeciągną klingę olbrzymiego kindżału i po ostrzu jego przejdą wszyscy mężczyźni,—w dniu tym prorok z tęsknotą będzie szukał w tłumie najmężniejszego z mężczyzn—Mahdiego.

Nie wstanie on, albowiem nie posiada mogiły.

Nie będą dźwięczały dla niego pieśni rajskich dziewic. Nie pomknie on na łowach za przepelniającymi rajskie puszcze niezliczonymi łaniami. Nie odpocznie pod cieniem kwitnących niewidzianej piękności drzew, w przesyconem wonią kwiatów powietrzu.

Jak sowa po nocy—z tęsknym okrzykiem będzie się unosić nad opustoszałą ziemią dusza

jego, napróżno szukając mogiły, w której złożono jej ciało.

I tysiące jęków będzie jej wtórowało w ciemnościach.

To jęki mężnych, zwyciężonych, zabitych, których ciała lord Kitchener rozkazał porozrabywać na dwoje i zakopać w różnych miejscach, aby nie mogli oni zmartwychpowstać nawet w dniu sądu Allacha.

Kitchener—to wojownik, po za którym powstają góry tam, gdzie ich nie było, powstają nowe rzeki, biegać można tam, gdzie przejść nie było można. Stosy trupów, rzeki krwi. Zrównane z ziemią sioła.

Ale i tego za mało. Bada on religię narodu, przeciwko któremu wojuje:

— Aby i w duszę ugodzić sztyletem.

Ludzie szaleją nie tylko wskutek okropności i znęcania się jego żołnierzy, ale i wskutek wyrafinowanych świętokradztw, bluźnierstw i szyderstw.

Oszalałym wydaje się, że zbliża się koniec świata, że sami bogowie ich leżą zniweczeni u nóg Kitchenera—bezsilni, zwyciężeni, unicestwieni.

Tak powinno się zdawać. Na tem polega «legenda» o Kitchenerze. Tybet jeszcze na Kitchenera nie zasłużył.

To dopiero wyprawa.

— U nas zabito dwa konie, kontuzjonowany jeden sipaj—u nich zginęło 400.

U nas lekko raniony jeden. U nich zabito 500.

Cóż to za wojna?

— Zabity pocztalion. Wysłany porucznik dla ukarania występnej wsi.

Ekzekucya trwa w dalszym ciągu.

— Porucznik powrócił do oddziału.

To jest ekspedycya karna. Zwyczajna karna ekspedycya.

A jej cel?

Na to pytanie świetnie odpowiedział jeden z czytelników w gazecie «Times of India». List jego z uznaniem został przedrukowany przez wszystkie gazety Indyi.

Tę formułkę można uważać za przyjętą przez «anglo-indyjską» opinię publiczną.

— Rezultatem ekspedycyi, ma się rozumieć, nie może być arkusz papieru, na którym skreślono parę hieroglifów.

Anglicy doskonale wiedzą, co są warte podpisane przez Azyatów umowy.

Od samego początku ekspedycyi, nikt nie wątpił, iż Tybet faktycznie należeć będzie do Anglii.

Na «arkuszu z hieroglifami» można napisać co się podoba. Jeżeli by Tybet zobowiązał się do zapłacenia tylko jednego szylinga kontrybucyi — to okazałoby się, że zapłacić tego szylinga nie jest w stanie.

I angielska siła zbrojna powinna pozostać w Tybecie:

Nepal jak groźna chmura zawisł nad Indyami.

Nepal—to Czarnogórze Himmalajów.

W posiadłościach radży Nepalskiego leży Mont-Ewerest—niedostępne skały, głębokie doliny-przepaście, błota, z których unoszą się zabójcze miazmaty. Nepal należy do Anglii.

Radża Nepalu jest jej wasalem.

W roku 1857, z rozkazu Nenasaiiba, zbuntowani sipajowie wymordowali w Kanupurze żołnierzy angielskich, urządzili rzeź kobiet i dzieci.

Powstanie zostało stłumione.

— Na drzewach więcej było ludzi, niż owoców.

Sipajów rozstrzeliwano z armat.

Sam zaś wódz, główny winowajca, człowiek zbryzgany krwią angielską i łzami, którego imię przeklinała cała Anglia—zbiegł do radży Nepalu.

Anglia zażądała od swego wasala aby wydał niezwłocznie przestępcę.

«Wasal» odpowiedział zwięźle:

— Nie.

Wówczas, gdy drugorzędni winowajcy byli «przykładnie straceni»,—główny winowajca najspokojniej zamieszkiwał «w posiadłościach angielskich», jako gość honorowy «wasala».

Zmarł on cicho, spokojnie na malarję, zarażwszy się nią podczas polowania.

Koniecznymi były dwie wojny na to, aby «wasal», radża Nepalu, pozwolił Anglii utrzymywać przy swym dworze przedstawiciela. Lecz oprócz tego przedstawicielstwa, do tej pory zabrania on komukolwiek z europejczyków wjazdu do kraju.

Tak oto Nepal «należy» do Anglii.

Jak ciężkie widmo nad Indjami angielskimi—zawisło niebezpieczeństwo.

Na ciche, trwożliwe doliny Gangesu, jak śnieżna lawina, toczy się od Himalajów pchnięty wrogą dłonią Tybet, pchając jednocześnie naprzód pokrewny mu Nepal.

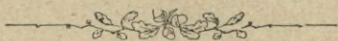
A przez przesmyk Bramaputry wlewa się do Bengalij potok bagnetów rosyjskich.

I zjawia się niespodziewanie możność obejścia Nepalu od tyłu! Otoczył go i stanął.

— Starej Anglii sprzyja stare szczęście!— mówił mi, uśmiechając się z zadowoleniem, zamieszkały w Indyach Anglik, znający dobrze sprawy miejscowe, — to było konieczne, aby Tybet zaczął «kokietować» Rosyę, w chwili właśnie, w której Rosya chwyciła się za bary z Japonią, Jaki szczęśliwy zbieg okoliczności! Jaka sposobność zakończenia odrazu przeklętej kwestyi Tybetu. Dopóki Tybet nie jest w rękach Anglii, Indye jeszcze nie są zupełnie podbite. Nie możemy jeszcze być zupełnie o nie spokojni.

I z radością zacierał ręce.

— Potrzebnie to było Tybetowi wybrać taką właśnie chwilę do «zalecanek». Starej Anglii sprzyja stare szczęście! Za starą Anglię!



S P I S.

	Str.
I. W Małej Azji i Konstantynopolu . . .	5
II. Grecya i wojna	21
III. Egipt i wojna	26
IV. Port—Saida	40
V. Spotkanie z bohaterami «Warjaga» . . .	54
VI. Szpieg japoński	60
VII. Syngalezi i Japończycy	63
VIII. Prasa kolonialna i wojna	79
IX. Anglicy i Japończycy	90
X. Indye i Rosya	102
XI. Australia i wojna	114
XII. Logika Azji	131
XIII. Chiny i wojna	140
XIV. Rzeczywista powaga Rosyi	144
XV. Tybet	157



1892



W KSIĘCARNIA *





10649/

7

